


Poezye i Urywki prozą

Druk Piotra Laskauera 
Warszawa, Nowy-Świat Nr. 41.





JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.
(W r. 1859-ym).

NIGDZIE NIEDRUKOWANE

POEZYE i URYWKI PROZĄ

□ Z TEKI POŚMIERTNEJ □

JÓZEFA IGNACEGO
KRASZEWSKIEGO



WARSZAWA - WYDAWNICTWO „BLUSZCZU”
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa

1912

Ma 12-56



1956 6 26



Poezje te, pisane w różnych epokach życia są wyrazem tych uczuć i stanów ducha, jakie przeżywał Józef Ignacy Kraszewski, są szczerą spowiedzią zbolelej często duszy, doświadczanej przez los, lecz nigdy nie obniżającej lotu. Znalezione w tece pośmiertnej, nie były przeznaczone do druku, gdyż autor „Starej Baśni” zbyt skromnym był, aby chciał „sobą” zajmować ogół — nie wszystkie też są jednakiej wartości artystycznej — przemawiają jednak tak żywo do czytelnika, tak jasno rysują postać wielkiego pisarza, że zapoznanie się z niemi nie tylko przypomni jego zasługi, ale uwypukli te zalety ducha, które poza talentem i pracą składały się na potężną indywidualność twórcy powieści polskiej. Porządkując je, starałam się rozklasyfikować stosownie do treści, nie czasu, na pierwszym zaś miejscu zamieściłam „Psalmy”, pisane w Magdeburgu, jako smutny dokument krzywdy, która starca nad grobem spotkała. Źródłem jej, jedyną przyczyną — była zbyt duża wiara w ludzi i niezrównana dobroć, płynąca z gołębiego serca.

W poezjach tych odsłania nam Kraszewski tragedję ostatniej karty swego życia, wiodąc nas również

przez jasne dni młodości, trudy dojrzałego wieku i niezapomniane, słoneczne dzieciństwo... I śmiało przytoczyć tu mogę słowa wypowiedziane w dniu Jubileuszu: „w chlebie mym były może ości i plewy, ale zakalca nie było”.

K. Łozińska.

d. 8 marca 1912 r.

Książka pra-prababki.

Dość spojrzeć na nią, aby się domyśleć, że to nie jest jedna z tych książek, jakimi my się dziś bawimy, z jakich się uczymy i jakimi gorszymy się czasami. Książka ta w życiu miała inne znaczenie. Była to towarzyszka w dobrej i złej, a nadewszystko w złej doli; książka, z której płynęła pociecha w duszę, na którą spływały łzy; z niej się czerpało natchnienie, męstwo, nadzieja. Jest to po prostu książka do nabożeństwa, ale z nią łączy się tragiczna historia mojej pra-prababki, Barbary Ludwiki z Dłuskich Nowomiejskiej. Naówczas książka ta nie służyła jako część toalety do ubrania się na nabożeństwo, nie wstydzono się jej, nie żądano, aby się mogła, w razie potrzeby, schować do kieszonki; duża w ćwiartce, drukowana na lichym papierze żółtym, aby mogła przetrwać wszystkie życia przygody, oprawna była w czarny jaszczur, jak szablą pra-pradziadka, spięta srebrnymi klamrami, z czarną żałobną obwódką. Właścicielka też jej przez większą część życia żałobą była okryta. Nie francuskie to „Heures”, nie żadne tłumaczenie, ale prosta domowa książka, w Sandomierzu drukowana, Bolesnej Matce Boskiej w obrazie cudownym

Jarosławskim złożona w darze i poświęcona; na wszystkie życia przygody, do wszystkich świętych patronów zawierająca modlitwy i westchnienia...

Na kartkach jej po kilkakroć podpisała się właścicielka, a na jednym z włożonych w nią obrazków nakreśliła to godło, które służyło jej do zgonu: „Dar Ducha Świętego—męstwo”.

Niewiasta to była w istocie mężna nad podziw, a męstwo jej płynęło z pobożności. Z rąk prababki przeszła książka przez pobożne ręce babki, matki mojej, i jako droga relikwia, daną mi była r. 1853, dnia 10 czerwca w Romanowie. Jest to niemal jedyna dziś spuścizna, jaka mi została. Kilka pokoleń dopisywało na niej modlitwy, możnaby było na niej znaleźć łąz ślady — ale posłuchajcież historyi tej, która się pierwsza na niej modliła.

Państwo Nowomiejscy, ludzie zamożni bardzo i pracowici, trzymali w teraźniejszej Galicyi, a jak się to naówczas zwało, na Rusi, znaczne dobra dzierżawą od Księcia Wojewody — (nie wymieniamy nazwiska, spokój umarłym!). Pan Nowomiejski pożyczył było — prócz tego kilka tysięcy czerwonych złotych Księciu Wojewodzie. Było to za Saskich czasów; naówczas kto miał siłę, mógł co chciał.

Książę w ciągłych był podróżach do Drezna i dalej zagranicę, pieniędzy potrzebował wiele. Plenipotent, chcąc się zasłużyć, starał się o nie wszelkimi możliwymi środkami. Właśnie w chwili, gdy Książę się do Paryża wybierał, pan Nowomiejski zażądał wypłaty pożyczonych pieniędzy. Plenipotent oddać ich nie mógł. Książę, do którego słano listy, pogniewał się mocno na szlachcica, śmiejącego dokuczać tak wysoko

położonemu w hierarchii panu. Plenipotent, na którego zapewne część winy za to spadała, powziął gniew i żądze zemsty na panu Nowomiejskim. Miał w pozostałych dobrach kozaków nadwornych i wojsko książęce... Chociaż dzierżawa na lat jeszcze kilka kontraktem zapewnioną była, powziął myśl wyrugowania z niej siłą Nowomiejskiego. Nie było to łatwo, bo w fundum swem miał i on ludzi, dwór liczny i zapaśne rusznice.

Jednego dnia świątecznego, tak opowiadała prababka, wybrali się państwo Nowomiejscy na nabożeństwo do parafialnego kościoła. Jeździli zwykle dworono, jechał z nimi kapelan kapucyn, kilku rękodajnych dworzan, służba. Szła sześciokonna karoca, a za nią bryka. Dano im wniść do kościoła bez przeszkody, wysłuchać mszy, a gdy już do powozu wracali, w kruchcie kościoła, zastąpiło im drogę kozactwo nasadzone, i wpadło z szablami na Nowomiejskiego. Dobył i on swojej na obronę, przypadł kapelan, oślaniając go, przybiegli w pomoc dworzanie, ale liczba napastników była przewyższająca, — pan Nowomiejski padł, kilkadziesiąt ran odebrawszy i krwią oblanego, żywego ledwie, wniesiono do powozu, uchodząc z nim do domu. — Tu się już gotował najazd i mimo dzielnej obrony, Nowomiejscy z kilkorgiem dzieci drobnych i życiem ledwie ująć mogli. Padły ofiarą inwentarze, zasoby domowe, wszystko... Pani Barbara ocaliła trochę pieniędzy z chorym, okrytym ranami mężem osiadła we Lwowie i rozpoczęła proces z najeźdźcą.

Wiemy, co to była naówczas sprawa z człowiekiem możnym, królewską protekcją i deputatów trybunalskich mającego za sobą. Proces toczył się lata nieskończone. Pana Nowomiejskiego leczono też dlu-

go, a pani Barbara powiadała, że doktorowie i apteka tysiące czerwonych złotych kosztowały. Umarł w ostatku z ran poniesionych, zostawując wdowę i dzieci małoletnie z tą nieszczęsną sprawą w spuściźnie.

Naówczas to napisała właścicielka na książce: „Dar ducha świętego—męstwo”. Potrzebowała go w istocie, aby sama jedna podolać wszystkiemu, wychować dzieci, odzyskać im majątek, nie upaść pod brzemieniem, nie rozplynać się we łzach bezsilnych. Bóg pomógł czcigodnej, mężnej niewieście.

Po długim, bezskutecznem procesowaniu się z Księciem Wojewodą, dało się coś przynajmniej z zagrabionej własności odzyskać, dzieci we Lwowie odebrały wychowanie i pokierowały się na świecie, — wdowa miała tę pociechę, iż umierając, spokojnie oczy zamknęła z uczuciem spełnionego obowiązku.

Na tej książce modliła się ona całe życie, a karty jej zapisane są prośbami do dzieci i wnuków, aby o duszy jej nie zapomniwały. Można niemal śledzić na nich, jakimi się karmiła modlitwami, bo niektóre stronicę są więcej zużyte od innych...

Ileż to łez w czasie tego pobytu we Lwowie spadło na nie, gdy mąż chorował, ani wyzdrowieć, ani umrzeć nie mogąc, gdy lekarze z jednej, mecenasi i adwokaci z drugiej strony resztki mienia zabierali, gdy trzeba było swem męstwem i wiarą w Opatrzność starczyć na wszystko... kobiecie samej, jednej sierocie...

Pojmiecie łatwo, że książka ta — to relikwia, to najdroższa pamiątka. Przechodziła też z poszanowaniem z rąk do rąk i najstarszemu się dostała... Leży w niej także list pana Dłuskiego Józefa, ojca pra-prababki, w r. 1737 z Hołynki pisany do przyszłego zięcia, któremu

rękę swej córki akorduje. List to zupełnie w stylu i obyczaju saskich czasów. Dłuski posag córce na dobrach Gudosze w ziemi Nurskiej zapisał... „A jeżeli taka jest Superis dyspozycja, i quo te tua fata vocant, i pede fausto... Deus coronet vota usum Pana ku chwale swej i moje żądze.” — Spodziewał-że się pan Dłuski, że to małżeństwo tak szczęśliwe, tak straszną tragedią się zakończy!

Do ł h e.

Jedną może z najmniej znanych okolic kraju naszego, jest Prużańskie i Kobryńskie. Oprócz wojen napoleońskich, w czasie których pono gdzieś w tych stronach strzelano do siebie, żaden znaczniejszych rozmiarów fakt nie zapisał tych cichych miejscowości na kartach historyi. Jak ludzie szczęśliwi, Prużańskie historyi nie ma. Kątek to mający swą szczególną, odrębną, własną fizyognomię.

Płaszczyna trochę piaszczysta, posiana kamieniami nie tutejszymi, które przed tysiącem lat wody jakiegoś kataklizmu przyniosły, gdzieniegdzie gaj brzozy, gaj olszowy, gaj sosnowy, a za moich czasów szerokie błota i moczary, na których tysiące czajek, batalianów i bekasów żyło i rozmnażało się swobodnie, nie licząc kaczek na wyżarach. Jak spojrzeć płaszczyna równa, jednostajna, a wśród niej folwarczki, wioski, kościółki drewniane, cerkiewki... Drogi się wiją brzegiem pól i łąk, często w kształcie kamiennych grobelek, czasu roztopów przyprowadzających do rozpacz. Wśród błot brody, kępiny, kośnice, trzciny, gdzieniegdzie ów prastary kamień wędrowny, który zasnął

i mchem się okrył, a ledwie już czubek jego widać nad ziemią.

Tych kamieni wędrownych, znanych mi osobiście, ileż ich tam było po drogach i polach! Z mniejszych robiono płoty malownicze i owe śmiertelne grobelki, większe, jak możnowładcy, zabezpieczeni byli od wszelkiej zaczepki i stały spokojne. Bardzo to proste żywioly, z których się składa krajobraz tych nizin nad Jasiółdą i Szczorą, nad Prudem i innymi wodocięzami tutejszemi, nawet zdają się one niewdzięczne, a mimo to tworzyły się z nich, wierzcie mi, cudne obrazki, coś wdzięcznego bardzo i tęsknego w sobie mające. Wśród takiej równiny wilgotnej leży ojcowskie Dołhe, wioska niewielka w okolicach Prużany. Ojca rodzice odumarli dzieckiem na Ukrainie, w pieluchach został sierotą, na opiece przyjaciół dziada i dalekich krewnych. Naprzód więc ów piękny ukraiński majątek, dla ułatwienia sierocych spraw i uproszczenia, sprzedano tanio, aż do ruchomości.

Sierotę zabrali krewni, wychowywali — jak sierotę.

Ze znacznej dziadowskiej spuścizny, mimo, że się z nią obchodzono rezolutnie bardzo, parę kroćsto tysięcy zostało. Pulkownik Bogusław, opiekun ostatni, miał je do rozporządzenia. Kupiono za nie naprzód majątność Borowę w zapadłym kącie Polesia, ale obszerną jak niemieckie księstwo. Potem opiekun doradził zamienić te obszary dzikie na dwie wioski już nieco na świat Boży wysunięte: Dołhe i Peresudowicze. Ostatnia wieś, na nieszczęście, przylegała do dóbr przemożnego spekulanta i potrzebna była do zaokrąglenia. Wywiązał się proces, z którego wypadło,

że ojciec Peresudowicze utracił. I osiadł w Dołhem. Jak tylko doszedł do pełnoletności, nikt się już o niego nie troszczył. Sam wszystko winien był sobie; a że nie przepadł rzucony tak na pastwę losom i własnej młodości, to za cud Opatrzności uważać można.

W maleńkiem Dołhem, z maleńkim niskim domkiem, z małą kapliczką na wzgórzu maleńkim, z ogródkiem, z odrobiną zarośli, która cały las składała, z jedną sosną na polu, pozostała po szczęśliwszych czasach (na której zawsze mi przepowiadano obwieszenie za swawolę), w Dołhem ten ojciec i my przeżyliśmy spokojnie długie lata. Ojcu z pierwocin obywatelskiego zawodu pozostał tytuł chorążego powiatu Prużańskiego i był tak samo prawnie chorążym, jak dziad ostatnim Łowczym Trębowelskim. Ja mam szczęście bodaj być ostatnim Sędzią Granicznym tegoż powiatu Prużańskiego, choć żadnej nigdy granicy nikomu rektyfikować już nie miałem sposobności. Jak widzicie, dygnitarstwami się pochlubić w ostatniej epoce żywota rodziny nie możemy. Dawniej pono siadało się i wyżej, ale fortuna kołem się toczy. Dopóki rodzina siedziała na Mazowszu, skąd pochodzi — było lepiej — potem się rozproszyła po świecie za chlebem — i rozrodziła i na skromnym zagonie Pana Boga chwaliła. Wędrowały tak u nas zbyt potomstwem pobłogosławione familie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, szukając dla siebie krescytywy.

Pan chorąży, gdy chciał trochę świata zobaczyć, rozsluchać się, odżywić, jechał do rodziców matki na Podlasie, do Romanowa, niekiedy do Grodna, w ogólności jednak, wyjąwszy urzędowanie, na którym mu nie zbywało, w domu siedzieć lubił, ogrodem, książką

niekiedy skrzypką, gawędką i gospodarstwem się zabawiał. Sąsiedztwa miłego było dosyć, nie pamiętam istotnie, żeby kiedykolwiek z którymkolwiek z sąsiadów najmniejsza kwestya zaszła, co by pogodne niebo zachmurzyła. W sąsiedztwie najbliższem były domy pokrewne Szwykowskich i Moraczewskich, a dalej dużo innych: Bułharynowie, Trębiccy, Wredt'owie. Przez groblę długą w Sapieżyńskich Bogusławcach mieszkał Grabowski, który je dzierżawił szczęśliwie. Na grobli tej przypatrywałem się szalonym zapasom batalionów, które się tu po całych dniach śmiertelnie tłukły.

W Polonnym Hrudzie, nieopodal, mieszkał kapitan Sobolewski. Była to jedna z najoryginalniejszych postaci w okolicy. Mężczyzna dobrze stary, łysy, tak że mu brwi zupełnie wypełzły, twarz szeroka i blade, spokojna, dziwnie spokojnego, nieco szyderskiego wyrazu, czoło wielkie, postawa żołnierska, ubiór staroświecki. Najczęściej frak szaraczkowy, a raczej makowego koloru. Na pierwszy rzut oka poznać było w nim można żołnierza. Kapitan Sobolewski czasem przyjeżdżał wózkiem, a niekiedy, jeżeli bród wysechl między Polonnym Hrudem a Dolhem, przychodził i pieszo; z fajeczką na krótkim cybuszku w ustach na boku oryginalnym sposobem umieszczoną, z kapciuchem na guziki. Grywali z ojcem w maryasza, a kapitan opowiadał swe dzieje, bo był za Rzeczypospolitej żołnierzem. Niedowiarek Boży, dawał matce naszej powód do nieustannej troski o zbawienie, ale nawrócić go nie było środka. Nie chwalił się on ze swą niewiarą, nie popisywał z nią, ale przyparty do powiedzenia co myśli, mówił bez ogródki. Jakim sposobem znalazł się Sobolewski we Francyi w czasie wybuchu wielkiej rewolucyi, gdzie papiery swe legitymacyjne

szlacheckie spalil, idąc za przykładem francuzów — nie mogłem dojść nigdy. Z czasów, szczególnie, kampanii pierwszych w obronie granic Francyi, potem z wypraw włoskich miał tysiące szczegółów do opowiadania. Dziś mi trudno przypomnieć, gdzie czasu oblężenia jadł szczury, ale potrawa ta wbiła mi się w pamięć.

Posądzałem mocno kapitana, mimo jego prostoduszności i dobroci, że — pływał. Opowiadał z wielką prostotą i przejęciem te dzieje lat pamiętnych, najczęściej stojąc, w postawie żołnierskiej, z głową podniesioną i nieodstępną fajeczką w ustach, którą tak umiał trzymać w kątku, że mu do mówienia nie przeszkadzała. Człek był spokojny, skromny, ubogi, a nigdy się nie skarżący na niedostatek, nawykły do wszystkiego, na duchu uspokojony. Gdyśmy go, co się często zdarzało, wyciągnęli na jakie opowiadanie o wojnach Rzeczypospolitej, ożywał się, rozgadywał i z nadzwyczajnem bogactwem szczegółów, opisywał nam, co wycierpiał w czasie oblężeń, w pochodach i bitwach. Nie mogę go sobie inaczej przypomnieć, jak stojącego i wyprostowanego, w makowym fraku, z fajką w ustach i kapciuchem na guziku. Pomimo służby w wojsku francuskim i długiego pobytu za granicą mówił źle po francusku. Miałem, słuchając go, podejrzenie, że chyba komponował opisy bitew, tak dziwną w nich okazywał pamięć. Byłem więc bardzo szczęśliwy, gdy mi się raz udało dostać pamiętniki Dumouriera, pod którym kapitan służył i z pomocą ich postanowiłem uczynić próbę. Odczytałem z uwagą jedną z tych bitw, o których Sobolewski opowiadał i przy pierwszej zřeczności zagadnąłem go znowu o nią.

Jakież było zdziwienie moje, gdy stary kapitan

począł opowiadać słowo w słowo cały przebieg walki, tak jak ją generał opisuje. Odtąd miałem dlań tem większe poszanowanie i zawstydzilem się niedowiarstwa mojego. W późnym bardzo wieku, do końca krzepki, zmarł wreszcie nasz sąsiad i pamięć o nim z nim razem. Matce naszej, pomimo jej starań i podsuwanych mu książek, nie udało się nawrócić zakamieniałego niedowiarka. Grzecznie bardzo przyjmował książki, bo czytać lubił, lecz wpływu nań nie wywierały. Umysł jego zatrzymał się na jakimś stanowisku którego już przekroczyć nie miał ani siły, ani ochoty.

Były to jeszcze czasy, gdy na ekscentrycznych figurach na świecie naszym nie zbywało. Pieszko przywędrował czasem o kiju stary Dołubowski z wierszami osobliwemi i trywialną wesołością swoją. Rodzaj Diogenesa to był, któremu równie jak kartuzowi O. Grądzkiemu w głowie się nieco zamąciło. Dołubowski prawil improwizacye w rodzaju Rozbickiego, które powtarzano. Zabawny pan komornik Denisko należał też ze swą pocziwą naiwnością, łatwowiernością i dziwaczniemi pomyśłami do tej gromadki, ożywiającej okolicę.

Nadzwyczaj dowcipny, odcytany, nie bez zdolności, ale niespokojnego ducha dziedzic Czachca, Bułharyn, mógł się też liczyć do ekscentryków. Na typach wybitnych temu zakątkowi nie zbywało, nie mogę dziś ich wyliczyć wszystkich. Żył się tu bardzo spokojnie, wesoło i zgodnie. Społeczeństwo ówczesne, od górnych sfer poczynając, do najniższych, wyrabiało się jakoś daleko indywidualniej, niezależniej od przyjętego prototypu, swobodniej i zyskiwało na tem z wielu względów. Nie raziły te cechy odrębne, niezwyczajne, które starano się poszanować i z wyrozumiałością się z nimi

obchodzić. Co za niezmierny zapas wspomnień przeszłości, opowiadań, tradycji, anegdot krążył w tych kółkach — wyliczyć niepodobna.

Mieszkający w Połonnym Hrudzie, obok Sobolewskiego pan de Larzac, którego ojciec był komendantem w Nieświeżu u k-cia Radziwiłła Panie Kochanku, przynosił nam powieści o księciu Wojewodzie. Żyły o nim tradycje i w spokrewnionym z Radziwiłłami domu Trębickich w Linowej, gdzie jeszcze ostatnich karłów nadwornych, po polsku strojnych oglądaliśmy. Niedaleko od Prużany zaczyna się puszcza Białowieska, na której skraju jakiś czas mieszkał Franciszek Karpiński, z którym ojciec był blisko znajomym, i jeśli się nie mylę, wyznaczonym przez niego na wykonawcę testamentu.

Ze wspomnień o Karpińskim, któreśmy niegdyś już spisali, zostało mi w pamięci smutne wrażenie zrezygnowanego, ale zwichniętego i nieszczęśliwego człowieka, nie umiającego się z losem i życiem pogodzić. Chorobliwa czułość przerodziła się w nim w rodzaj mizantropii, znośniejszej wszakże, niż cyniczne dziwactwo Trębickiego.

Powielokroć przejeżdżałem w różnych kierunkach tę Białowieską puszcę, której olbrzymie drzewa i malownicze gąszcze jeszcze mi stoją przed oczyma. Nie wiem, czy w całej Europie znajdzie się gdzieś las tak pierwotnej jakiejś epoki, nadzwyczajnej siły wzrostu, noszący cechę. Niezmierzone błot obszary, rozległe puszcze Białowieska i Kobryńska nadawały tej okolicy charakter, przypominający dawne wieki, gdy się te kraje zaludniać dopiero poczynają. Dziś on już w znacznej części się zmienił. Lasy przerzedzone i powycinane zostały, błota osuszone i zmienione na łąki żyzne.

Tam, gdzie między Sapieżyńskimi Bogusławcami a Dołhem była tak zwana dyferencya i granica nieoznaczona na niezgruntowanych grzęźnicach i kępiastem błocie, dziś wybity kanał ściągnął wody i manna, którą na nich zbierano, a którąśmy się karmili z upodobaniem, pewnie rosnać przestała. Kto wie, ucichły może owe stada czajek i batalianów, owi błot mieszkańcy, których głosy znaliśmy tak dobrze, bo stanowiły muzykę smętnego krajobrazu tego zapadłego kątku...

R o m a n ó w.

Obok skromnego domku rodzicielskiego w Dolhem stoi w pierwszych moich wrażeniach dziecinnych szumiący prastaremi jodłami swojemi Romanów, majątność dziada i babki, później rodziców moich. Wśród lasów nadbużańskich, w głębokiem, zapadłem Podlasiu, między dawnymi dobrami Sapiehów i Radziwiłłów, Kodniem, Sławatyczami, Włodawą, leży ta majątność, niegdyś Sapieżyńska, w której zamierzano fundować rezydencję pańską, czego dowodem był wspaniały i ogromny ogród z kilkusetletnimi świerkami i grabowymi szpalerami. Zaczęli Sapiehowie stawiać nawet coś naksztalt pałacu, ale skończyło się na lochach tylko i fundamentach, na których dziad, p. Błażej Malski, dom wznosił murowany. Tęskny, płaski, poważny krajobraz otacza dwór, do którego wiedzie z jednej strony długa przez lasy przebita tryba. Lasy stare, odwieczne, opasują zewsząd siedzibę w przepysznych drzewach ukrytą, na których niezliczone gnieźdzą się bociany i czaple. Czuć było w Romanowie jeszcze za moich czasów zaledwie zdobytą na puszczy pierwotnej nowinę. Cóż to za cudowne gąszcze były w Kraszczynie, jakie sosny na drodze do Chmielity i Sosnówki! Sam ogród, odjawszy mu szpalery i ulicę

świerkową, był niemal puszczą, do której z lasów różne stworzenia zaglądały. Później obok dworu stawały piękna kaplica, oranżerya, łazienki i wszystko, co go ozdobilo. Dziad lubił bardzo ogród, drzewa, owoce i wielce się nimi zajmował. Jak zapamiętam siebie na świecie, widzę się w Romanowie, wychowawcem prababki ś. p. Konstancyi z Morochowskich Nowomiejskiej, żony niegdyś jednego z synów ś. p. Ludwika z Dłuskich Nowomiejskiej, której tragiczną historję wspomniałem.

Prababka, którą nazywano „babką białą”, gdyż się najczęściej w suknie białe ubierała, była moją pierwszą nauczycielką i drugą matką. W jej pokoju spędzałem dni całe, łóżeczko moje tam stało, a na posadzce ustawiały się ogródki z sosnowych gałązek i lalek porcelanowych. Wszystkie swe prawnuki wychowywała tak z kolei. Była to postać prześliczna dawnej polskiej niewiasty, niezmiernie czynnej, zawsze z uśmiechem na ustach, uprzejmej, czynnej, zajmującej się żywo wszystkim i wszystkimi, potrosze gospodarującej w Chmielicie, wychowującej wnuki i sieroty, zaglądającej do ogrodu, przyozdabiającej kaplicę, czynnej we wszystkich stosunkach familijnych. Zmarła, mając lat przeszło dziewięćdziesiąt, na twarzy zachowawszy ślady dawnej piękności w uśmiechu pełnym słodyczy... O ile sobie przypominam, wychowywała się razem z panną Fleming, późniejszą księżną Czartoryską. Wyszedłszy za p. Nowomiejskiego, który znaczne dobra dzierżawił i na nich milionowy zrobił majątek, po zgonie osiadła przy jednej z córek i tu dokonała żywota.

Nie wiem przez wiele lat pod łóżkiem prababki stało pudło z habitem Św. Franciszka, w którym się jako tercyarka zakonu pochować kazała. Wszystko do niego

było w gotowości, bielizna, świece, pieniądze, nawet podarki dla gromady, która iść miała za pogrzebem. Pamiętam, że przewietrzano co roku te przygotowania, na które z uśmiechem spokojnym patrzała prababka, jedną ręką w bok się ująwszy, jak to miała we zwyczaj. Pamięć miała doskonałą, dowcip i wesołość nieprzebraną, dobroć niewyczerpaną, powagę przytem wielką. Lubiła się poruszać, nieustannie musiała być czynną, pamiętam ją nawet samą powożącą się wózekiem, do którego zaprzęgano powolną Jaroszyńską, klacz gniadą, od much odzianą w kapę i przejeżdżającą się do Chmielity, gdzie na nabiał i drób sama naglądała. Jedną z zasad praktycznie przez prababkę mi wszczepionych, które mi się najmocniej wbiły w pamięć, była: „trzeba za złe dobrem płacić”. Widzę się jeszcze w zielonej, alepinowej sukience, po dopełnieniu jakiejś zbrodni w ogrodzie, zapłakanego, i prababkę, która mocno mnie zgromiwszy, podała mi gruszkę suszoną, dodając do niej: „trzeba dobrem za złe płacić”. Jakim sposobem tak mi się to w pamięć wrazić mogło, gdy tyle innych rzeczy ważniejszych się zapomniało? to tajemnica prababki.

Dom pp. Malskich cały żywo się zajmował tem, co się na świecie działo, pisało, obiecywało, dokonywało. Musiało to na umyśle dziecięcym czynić wrażenie. Wieczorem, gdy p. Błażej Malski po wielkiej sali się przechadzał, babka czytywała głośno. Książek w domu było pełno. Wuj, ciotki, babka Malska lubiła literaturę. Wiktor Malski był artystą, malował i sztukę kochał.

Dziad i babka często mawiali o dawnych czasach. Przypominam sobie, jak pani Malska opisywała mi podskarbiego Tyzenhauza, który po sędzie, jaki zapadł

na niego, wracając z Grodna, u pp. Nowomiejskich nocował i w zielonem, aksamitem pokrytem futerku, smutny i milczący stał przy piecu. Babka z naiwnością dziecięcą spytała go nawet, dlaczego był taki smutny i za całą odpowiedź otrzymała pogłaskanie po głowie. Pamiętała także na balu jakimś w Grodnie panią Jenerałową z Radziwiłłów Morawską, w mundurze jeneralskim z szlifą, i białej kaźmirkowej spódnicy, mocno zażywającą tabakę — przesunął się przed jej oczyma później sławny Biskup Warmiński, jako *cadet de famille*, dosyć skromnym dworem jadący na trybunał, na który był wybrany deputatem duchownym.

Mnóstwo podobnych wspomnień zachowało się z owych czasów. Dziadek, który spisywał wszystkie okolicznościowe wiersze, listy, mowy, dawnym obyczajem (książka ta po nim mnie została), pamiętam łyzy miał w oczach, gdy mu babka ową sławną mowę abdykacyjną Jana Kazimierza czytała. Nie jeden raz ją słyszałem wieczorem powtarzaną i był to pierwszy dokument historyczny, z którym zapoznałem się wprzód niż z dziejami. Utkwiły we mnie na zawsze przepowiednie w nim zawarte, które dziadowi łyzy z oczów wyciskały. P. Malski mówił mało, ale czuł mocno.

Wieczorami, przy świecach z umbrellką, zasiadała zwykle babka, z pończochą w ręku do czytania głośnego, dziadek się albo przechadzał po cichu, stając niekiedy, lub na kanapie podparty słuchał. Czytywano nowe, a gdy tych brakło i stare rzeczy.

Sąsiedztwo Romanowa, pomimo tak na pozór samotnej okolicy, było dosyć ożywione i liczne, Szlubowscy, Jasińscy, Borkowscy, a dalej Masłowscy, Mańkowscy (krewni prababki), Koryccy i wiele innych domów

szlacheckich. Nie pamiętam już, kto ze starej szlachty, co się kontuszowo jeszcze nosiła, w paradnym stroju przybył na obiad do dziadka, bawił aż pod wieczór. Gdy wyjechał trybą ku Sosnowce, wyszedłem i ja na przechadzkę w tę samą stronę. Jakież było zdumienie moje, gdym pod lasem znalazł owego paradnego gościa, siedzącego na suchym rowie i strój kosztowny *sub Jove*, zamieniającego na płócienny kitel i kozłowe buty. Dało mi to pierwszą oszczędności naukę. W ten sposób suknie dziadowskie przechodziły na wnuków.

Prawie zawsze dla nabożeństwa w kaplicy bawił reformat w Romanowie, często zajeżdżali kwestarze. Za jednego kapelana, z którym się jakoś zuchwale i nieprzyzwoicie znalazłem, oskarżony, dostałem od dziadka w skórę, abym na przyszłość kapłanów szanował. O tem *pro memoria* tem mocniej przypominam sobie, gdyż był to *casus* pierwszy i ostatni w życiu. Wogóle reformaci byli ludzie dobrego humoru i prostoduszni.

Na obiad i wieczerzę uderzano w bęben i schodzili się naówczas wszyscy domownicy do stołu. Prababka jadła u siebie, bo bardzo często pościła. Oficjaliści dworscy, młodszy Piwoni i starszy rachmistrz Więckiewicz zapalony myśliwy, wirtuoz na skrzypcach, zjawiali się także.

Więckiewicz, o ile u stołu bywał milczący, stanąwszy przed gankiem niewyczerpane miał do opowiadania szczegóły z lat dawnych, z 1812 roku, gdy przed kozakami do Kraszczyzna uchodził. Pamiętał on jeszcze bodaj dziadowską dzierżawę Bobrujskiego starostwa. Spluwając często, wspomagając się wstawianem ciągle: „Mości dobrodzieju”, gładząc peruczkę, Więckiewicz z zapalem postokroć jedno powtarzał. A choć już trzy-

mał klucz od swojej izdebki w rękę, opatrzony dla bezpieczeństwa drewnianą kłódką, choć mu jego wyżeł dopominał się powrotu do penatów, raz począwszy relację — niełatwo kończył.

Wieczorem, jeśli na kaczki nie poszedł, suwając nogami po niewielkiej izdebce, godzinami grał na skrzypcach, które stały bardzo starannie zaniknięte w okutym pudle. Poczciwy stary dożył tu tak do końca, podupadłszy mocno na zdrowiu. Zrósł się z domem i rodziną.

Przypominam sobie, ale mgliście bardzo, odwiedziny u pp. Borkowskich — J. U. Niemcewicza, na którego przyjęcie wielce się przygotowywano. Bawił jakoś krótko, ale sławny naówczas autor „Powrotu posła” i „Śpiewów” poruszył sąsiedztwo całe. Mówiono długo i dużo o nim.

Widywałem, jeżeli się nie mylę, u Szlubowskich, młodego naówczas, zaledwie zaczynającego zawód swój, jeszcze nieśmiało, Stefana Witwickiego, który tu był jakiś czas nauczycielem domowym. Przypominam go jako bardzo pięknego i miłego mężczyznę. Okolicy nie zbywało na wspomnieniach i miejscach zajmujących, nie licząc Białej, o trzy mile był Kodeń zeswym kościołem, Infułatem, starą cerkiewką zamkową, opustoszałą rezydencyą pani ex-wojewodzicowej Mściśławskiej, Różanka Pocijowska, Włodawa, Wisznice i Dołholiska, w której Kościuszkę po powrocie z Ameryki bawił aż do wstąpienia w służbę czynną. Tu on własnymi rękami wznosił rodzaj pomnika murowanego i w nim swoje pamiątki złożył, które zaginęły. W kościółku w Dołholisce na obrazie cudownym jako votum, wisiał order Cyncynata, ofiarowany przez niego. Po drodze z Romanowa do Dolhego przejeżdżało się około Siechnowic, starego

gniazda Kościuszków, z drewnianą cerkiewką na piasku, staremi jodłowcami otoczoną. Komorę i granicę przebywało się w Brześciu Litewskim. Naprzeciw niego w Terespolu, alias Błotkowie, rezydował sławny na całą okolicę doktor Müller, do którego się zdala zjeżdżali pacyenci. Byłem tam i ja raz dziecięciem na kuracyi. Strasznie dawne, dawne czasy.

Chociaż to Podlasie było tak oddalone od wielkich gościńców, od świata, od ruchu, od ludzi, że nawet czasu wojen rzadko się tu wojska jakie pokazywały, w okolicy Romanowa, w Romanowie samym życia było wiele. Listy, dzienniki, książki, czasem ludzie zdaleka je przyносили. Wuj Malski Wiktor, niegdyś oficer artyleryi, człowiek bardzo wykształcony, dobry rysownik, malarz, duszą artysta, ale zarazem, zapalony myśliwy, czytywał wiele i zajmował się literaturą.

Z p. Janem Szlubowskim, także znawcą i miłośnikiem sztuki, odbyli oni podróż do Włoch i do Rzymu i Neapolu czterokonną bryczką polską się dostali. Gdy wieczorem zbliżali się do starej Partelopy, a na horyzoncie ukazał się z ognistym czubkiem Wezuwiusz, siedzącego na koźle Podlasiaka zapytali podróżni, jak mu się też zdawało, coby to być mogło? Niezmieszany wcale chłopak odpowiedział rezolutnie: „A co ma być? węgle dla kowala pałą.”

Jak dziadka, babkę, tak wuja interesowało wszystko, co się w kraju i zagranicą działo, czytano chciwie, rozprawiano wiele. Co nie mogło się dostać drukowaniem, przepisywano. Pamiętam, że pierwsze poezye Mickiewicza, które obudzały nadzwyczajne zajęcie, wszystkie chodziły starym obyczajem z rąk do rąk, w rękopismach, Walter Skott, Byron, Shakespeare leżeli u wu-

ja na stoliku. Odradzająca się na nowo literatura francuska, książki włoskie przywiezione z podróży czytano i tłómaczono.

P. Jan Szlubowski w Opolu zgromadził dosyć piękny zbiór obrazów i rzeźb zdobytych także we włoskiej peregrynacji. Wszystko to pierwszymi wrażeniami działało na umysł dziecięcy. Wspomnienia tych czasów tak jeszcze żywe pozostały.

Prababka, oprócz książki do nabożeństwa, czytała mało, przedewszystkiem była to niewiasta czynna, potrzebująca zajęcia, szukająca go prawie niespokojnie, dlatego brała na wychowanie wnuki, prawnuki, a w końcu i sieroty, gospodarowała potrosze, a gdy nadeszły święta Wielkanocne prezydowała sama przy pieczywie święconego. Babka za to po całych dniach czytywała albo robiła w krośnach, reumatyzm nie dawał się jej wiele poruszać. Dziad gospodarował i miał obowiązki obywatelskie, często też wyjeżdżać musiał. W oficynach u wuja panowały książki, ołówki, farby i myśliwskie przybory. Nie było rodzaju polowania, któregooby nie próbowano, bo i z ptakamiśmy jeździli starodawnym sposobem, a kilka sokołów i kobusów wychowano umyślnie do tego. Lasy Romanowskie obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, okoliczne błota w ptactwa mnogość.

Zawczasu nauczyłem się konno jeździć i z koniem sobie dawać rady, a dziś jedną z najdotkliwszych prywatych jest może to, że wierzchowca mieć nie można. Ojcowska kara klacz pierwsza mnie ponosiła i trochę potłukła, niezliczoną potem ilość razy padało się, podnosiło, pędziło z niewymowną rozkoszą — w pola i lasy!!

Balów i zabaw wrzawliwych nie pamiętam tu wcale,

oprócz jednych imienin prababki, na które między innymi gośćmi przybył pierwszy murzyn, jakiego w życiu widziałem. Uczynił na mnie niepospolite wrażenie. Pamiętam, że jak innych gości przyjmowano go w salonie i miał powierzchowność dobrze wychowanego człowieka.

Wszystkie dawne obyczaje zachowywały się tu święcie i wiernie, prababka była ich stróżem. W niej żyły tradycje wszelkie, które wspomnieniami popierała. Obchodzono doroczne uroczystości wedle form prastarych. W języku, którym mówiła prababka, zachowało się mnóstwo tych odcieni, akcentów, dodatków, które z mowy pisanej znikły. Chociaż rozumiała po francusku, nigdy językiem tym nie mawiała i dlatego może mowa jej miała niewymowny wdzięk archaiczny, nie książkowy, ale żywy, z życia wyrosły. Odzywała się w niej rubasznosc pewna, ale niewieścią skromnością powstrzymana i niemal wytworna.

Nieboszczyka pradziadka nie pamiętam wcale, wiem tylko o jego zgonie, o którym często opowiadano. W dosyć już późnym wieku będąc, p. Nowomiejski chorzał na podagrę i z krzesła się nie poruszał. W Wigilię św. Wojciecha na imieniny jego, zjechali się zięciowie i wnuki. Wieczór upłynął bardzo wesoło. Staruszek kazał się z krzesłem przytoczyć do stołu, mówił wiele, wypił pół kieliszka wina, naśmiał się i nażartował i odprowadzony przez wszystkich spać się położył.

Nazajutrz, w dzień patrona św. Wojciecha, gdy długo nie wstawał, sądzono, że zmęczony potrzebował spoczynku, około południa chciano go zbudzić. Znaleziono w łóżku uśpionym na wieki i dzień wesela stał się dniem żałoby.



IV.

Intermezzo.

W ciągu tego więcej niż pół wieku, który się dobrze pamięta, jakie niesłychane zaszły na świecie w pojęciach, w ludziach, w trybie życia zmiany! Począwszy od kolei, a skończywszy na Darwinie, ileż to wynalazków, ulepszeń i pogorszeń dożyliśmy!

Za moich studenckich czasów szosowany gościniec wydawał się niesłychanym postępem, a Cuvier najznakomitszym naturalistą. O protozoonie aniśmy słyszeli wówczas, a jazda parą po żelaznych gościńcach przeczuwać się nawet nie dawała. Mówilem już, że wuj mój, p. Wiktor Malski, bryczką z czterema końmi jeździł do Neapolu. O wiele później około 1883 roku, nieboszczyk pan Antoni Urbanowski, wuj żony mojej, odbywał coroczną wędrowkę do Saskiej stolicy musztardowym kočem, z tłumokami z tyłu, cztery konie w poręcz, z pościelą własną i wszelkimi zapasami, ba, i kucharzem własnym, nie licząc wiolonczelisty, towarzyszącego mu zawsze. We Florencyi do dziś dnia pamiętają tych polskich wędrowców, którzy ze sznurami przytwierdzonym z tyłu tłumokiem i bosą na nim służącą, wjeżdżali pod Giotowską dzwonnice. To pewna, że ówczcześni podróżni, powoli się tak wlokący od gospody do gospody, choć nie

obdarzeni nadzwyczajnym zmysłem obserwacyjnym, lepiej mogli poznać kraje i obyczaje, niż my dziś, przelatując je na skrzydłach pary. We wszystkich życia stosunkach zaszły równie wielkie, radykalne zmiany. Nie wiem, jak się to działo, że wielki ów przewrót we Francyi, który tak potężnie oddziałał na świat cały i odbił się u nas w pojęciach, w literaturze, w życiu wiele węzłów potargał, wiele zachwiał przekonań, pomimo to raczej na powierzchnię społeczeństwa działał, niż sięgnął do głębi.

Począwszy od owego kapitana Sobolewskiego, o którym wspomniałem, a który powrócił z Francyi zupełnym „niedowiarkiem Bożym”, spotykało się wolteryanów mnóstwo, sarkazm i szyderstwo odzywało się do koła, ale było więcej modą, naśladowaniem, czemś przejętem, jak krój fraka i fontaż u chustki, niż głęboko pocutem.

Mnóstwo ludzi pamiętam, będących w nieustannej ze sobą sprzeczności, niby wolno-myślących, gdy się przyszło z tem popisywać głośnie, a w domowym życiu chrześcijan, po staremu, zachowujących wszystkie kościółka przepisy i nieodłączających się od społeczeństwa nawskroś jeszcze katolickiego. W wielu domach mężczyźni, którzy się o wielki świat ocierali, naówczas w rzeczach wiary najzepsutszy, afiszowali wolnomyślność, kobiety wszystkie pozostawały przy starej wierze i na wodzy trzymały panów mężów, którzy w propagandę się wdawać nie śmieli. Duchowieństwo było pobłażającym, łagodnem, wyrozumiałem, i tą dobrocią a cierpliwością nawet zbłąkanych zwracało nazad do kościoła..

Tolerancja była w duchu, obyczajach i tradycyi.

P. kapitan Sobolewski, który głośnie i chłodno

wyznawał, że absolutnie w nic nie wierzył, przyjeżdżał na odpust, jak drudzy i chodził do kościoła. Ludzi w sprzeczności samych z sobą chodziło po świecie mnóstwo.

Wpływ obcych krajów, szczególnie zachodu, z którym nas długowieczne wiązały stosunki, był zawsze ogromny i nieprzeparty. Odbijały się u nas nie tylko mody jego, upodobania, systemy, ale nawet prądy, które się na naszej ziemi tłumaczyć nie dawały, nie mając racyi bytu.

Pozostalo to do dziś dnia i jest nadzwyczaj, na nie-szczęście, dobitnem jeszcze. Z długiej kurateli trudno się wyzwolić, szczególnie, gdy ona ciąży na duchu. W tym samym stopniu, aż do obecnej chwili prawie, Niemcy ulegali wpływowi cywilizacyi, czego ślad pozostał w języku.

Za życia prababki, jak ona sama opowiadała, w wielkiej modzie były suknie koloru „*Caca du Dauphin*” — i panie nosiły tę kakkdelfinę w kilka tygodni po przyjeździe jej na świat w Paryżu. Tak samo myśmy nosili francuskie idee.

Nowe książki francuskie rozrywano, podawano sobie z rąk do rąk, nie znać ich, nie mieć, było upokarzającym. Za Stanisława Augusta jeden z Sapiehów starą bibliotekę polską swoją całą precz kazał wyrzucić, a na jej miejsce instalował Dykcyonarz filozoficzny p. Mably i Rousseau.

Umiejętność francuskiego języka była nieodzowną, upośledzonym w towarzystwie stawał się, kto go nie umiał, albo źle nim mówił.

Dla mnie jednak od dziecinnych lat, już nie wiem skutkiem czego, przecuciem jakimś, sympatją niepojętą — książka stara, szczególnie polska, miała urok

niesłychany. Nikt u nas w domu w starych książkach się nie kochał, nie było to więc naśladownictwem, ale symptomem dla mnie do dziś dnia niezrozumiałym.

Pierwszy raz w życiu spotkałem się ze skrzynią bardzo starych ksiąg, wyrzuconych z biblioteki Bialskiej na strych przy porządkowaniu jej przez prof. Zengtellera. Chwili tej do dziś dnia zapomnieć nie mogę... Pierwszym szpargałem odartym, który mi się w ręce dostał, był Zielnik Marcina z Urzędowa. Po co poszedłem na ten strych, nie wiem, lecz spostrzegłszy książki, rzuciłem się na nie, jak na skarb, z gorączkową chciwością.

Pomiędzy mną a niemi był jakiś — niewiem, pozaświatowy związek, zdało mi się, że je sobie przypominam, jakby dawniej gdzieś widziane i znane. Miłość tę dla bibuły wiernie aż do dziś dnia zachowałem w sercu i Bóg jeden wie, ile ona mnie kosztowała. Nie miałem naówczas porządnego surduta w Wilnie i nie zawsze byłem obiadu pewnym, gdym za drogie pieniądze dostał Włodka o naukach wyzwolonych, Brauna i Mowy Ossolińskiego.

Dziś jeszcze stare książki wypychają mnie ze szczupłego domku, bo się ich urokowi oprzeć nie umiem. Przyносить się one z sobą zdają jakąś woń przeszłości, fizyognomia ich mówi, są to goście ze świata umarłych, do którego doprawdy serce mocniej bije, niż do żywego.

Na strychu owym w Bialskiej Akademii, gdzie stałem u zacnego Rektora Preyss'a i gdzieśmy razem z Aleksandrem, z Glogerem i Koronatem Cyruńskim naszym dozorcą tak miłe chwile spędzali — na owym strychu nabrałem pasyi do starych książek. Dziwnie zrazu wydawał mi się język ów XVI wieku, taki poważny, zamaszysty, jędrny, wyrazisty, ale m poczuł wprędce, że ten,

który przyniósł odrodzenie za Stanisława Augusta, ani mógł się z nim mierzyć. Czuć, że między Zygmuntownskim, a tym, nić tradycyi żywej pękła. Soki, co płynęły w tamtym, już w Stanisławowskim nie krążą.

W Białej prawie jeszcze byłem jakby w domu, jak u babek... Pani Preyssowa obchodziła się z nami, jak z własnymi dziećmi, do Romanowa jeździło się na święta, małe miasteczko jeszcze woń miało wiejską. Ruiny zamku Radziwiłłowskiego, którego już część tylko mała była mieszkalną, kościół i klasztor księży Reformatów, dobrze znanych, bo dostarczał kapelanów kaplicy w Romanowie, klasztor panien Miłosierdzia, cerkiew Bazylińska, wszystko to i ów kościół farny, w którym śpiewaliśmy Gorzkie Żale, i murowana figura z obrazem św. Jana Kantego, nawet piec w klasie na górze z datą 16, któregoś roku, tak się w pamięć mocno wraziły! Okolice miasta były daleko mniej ożywione naówczas, niż dzisiaj, do lasu było bliżej—we wnętrzu ciszej — ale już naówczas przebiegająca pod samą Akademią szosa, wiodąca do Warszawy, jak arterya biła życiem i tętniała ruchem. Na cmentarz około Fary, pod cień starych drzew, najbliżej było wybiedz z piłką lub ot tak, bez celu. Naówczas zaglądało się z ciekawością trwożliwą do narożnej kostnicy, w której katafalk odpoczywał, rozpatrywało kamienie grobowe z nieczytelnymi napisami, wklęśłe już w ziemię, których kilka rośło około kościoła.

W Akademii samej, bo tak się zwała owa filia Krakowskiej Szkoły, mieszkał Rektor Preyss i my u niego—Gloger, Cyruński, w dziedzińcu we dworku na prawo profesor Adam Bartoszewicz ojciec Juliana, Zengtellerowie i kilku profesorów utrzymujących uczniów. Wszyst-

ko to stanowiło niemal jedną rodzinę, a my młodzi jedną gromadkę.

Profesor Bartoszewicz miał ogromne księgi wypisów poezyi i prozy, które uczniom pożyczał. Poważny, majestatyczny niemal, ale dziwnie łagodny i dobry, z uśmiechem ojcowskim na ustach, stary, pierwszy mój nauczyciel literatury, gdym go w kilkadziesiąt lat później spotkał w Warszawie, tak się nic a nic nie odmienił, żem na widok jego osłupiał. Za moich czasów miał już tę łysinę, na którą zręcznie z tyłu włosy zagarniał, a wiek go nie pochylał, nie ugiął, i nie wziął mu tej pogody z twarzy, która ją blaskiem wewnętrznego spokoju oświecała.

Daleko więcej obawialiśmy się profesora Zengtelera, który w poobiednich godzinach, krokiem poważnym, z kluczem w ręku przybywał do muzeum i dopóki tu siedział, hałaśliwej swawoli naszej nie znosił. Naówczas przenosiła się ona do której z pustych klas na dole. Tameśmy i nasze doświadczenia fizyczne i chemiczne robili, do których syn aptekarza, a nasz kolega dostarczał materyałów. Dobrze to zaprawdę były czasy. Wszystko się śmiało i bawiło, wszystko było nowem i ponętnem. Chciało się pożreć całą mądrość książek, napić całej poezyi świata, zajrzeć do najskrytszego kąta i wtajemniczyć we wszystko dziwne, nieznane, a pożądane...

Nie mogę się wcale pochwalić, ażebym był uczniem bardzo pilnym, miałem brzydki zwyczaj uczyć się zawsze nie tego, co było potrzeba, ale ku czemu ciągnęła fantazya i owa nienasycona ciekawość, która ciągnie do piekła. Pragnęło się wyprzedzić, nie wlec się powoli i dużo się wałęsało po bezdrożach. Mam jeszcze do dziś

dnia drukowany list pochwalny, otrzymany w Białej, ale nie jestem pewien, czym na niego zasłużył.

Z czasów pobytu mojego pamiętam tu przybycie wizytatora Rakowieckiego, uczonego autora prawdy Ruskiej, który przyjechał na dwukonnym wóze nadzwyczaj skromnie i surową swą fizygnomią bardzo nam zaimponował. Dziad Malski, przejeżdżający przez Białę z Franciszkiem Wężykiem, wywołał mnie ze szkoły, aby zaprezentować słynnemu już wówczas poecie. W kilkadziesiąt lat później miałem szczęście zaprezentować mu się w Krakowie.

Lata te w Białej przebyte przeleciały, mignęły jak błyskawica, ale ileż one wrażeń, wspomnień zostawiły po sobie! Tu pierwsze bajki wierszem tłumaczyłem z Lafontain'a i w paradnie oprawnym seksternie, ku wiekuiściej zachowałem je pamięci.

Nie mogę zaręczyć, czym też nie pisał poematu czterech pór roku, których już tylko fizygnomia mi się przypomina. To pewna, że umysł się poruszał i przyszły ów zawód, ku któremu popychała mnie jakaś fatalność, wabił już ku sobie.

Z wypisów prof. Bartoszewicza poznałem się z poezjami Krasickiego, Naruszewicza, Niemcewicz i Brodzińskiego. Pieśni jego, pamiętam, śpiewaliśmy na przechadzkach. Bajki księcia poetów wrażały się dobrze w pamięć, smętny wdzięk poezji Kazimierza z Królówki miał dla nas urok wielki. Z matematyką i rachunkami bieda była niemała i smaku w nich nie miałem nigdy. Czytało się, szczególniej rzeczy niepotrzebnych, bardzo dużo, prędko i chciwie.

Z ulicznych postaci Białej, pomnę, jaką grozą napelniali mnie w kajdany okući aresztanci, których czasem

do robót około drogi i ulic w mieście wyprowadzano pod strażą z wieży zamkowej. W każdym z nich widziało się tragedję jakąś, krew, zbrodnię i sam brzęk łańcuchów ich przerażał, tak, że uciekał i chował się, by ich nie widzieć.

Ubogi, głupi Janek, który kamieniem sobie bił w głowę, a czasem nią o mur stukał, bosy, w czarnej koszuli, bez czapki, z twarzą czerwoną i straszną, obudzał ciekawość — wypraszał groszaki, bo go bardzo żal było. Bełkotał coś zawsze niewyraźnie sam do siebie, śmiał się, czasem przypadał pod murem akademii, a myśmy go obstępowali ciekawie. Niezapomnianą jest także stara Fejga, która z owocami, pierniczkami, makagigami, przybywała nas kusić i u której ogromnieśmy się zadłużali za te delikatesy. Długi dochodziły nieraz do pięciu złotych, a naówczas nie pozostawało nic, jak wyrzekłszy się słodczy, schować do drwalni na widok wierzycielki. Uiszczało się dopiero po powrocie ze świąt, z kieszonkowego kapitału, który prababka dawała na drogę. Często dochodził on dukata, a wówczas zdawało się, że za niego świat kupić będzie można. Najczęściej jednak zabierała go Fejga za te nieszczęsne łakocie.

Stare zamczysko Radziwiłłowskie, któreśmy czasem mogli oglądać, do najwyższego stopnia rozbudzało fantazyę szczątkami życia, które po niem były rozsypane. Resztki pokojów zwierciadlanych, supraporty malowane, posadzki kunsztowne, gdzieniegdzie sprzęty stare, a raczej szkielety ich tylko, rzeźby, złożone okładziny ścian, mówiły o niedawnej przeszłości. Tysiące powieści krążyło o gmachu i jego panach. W ustach tak szybko proza życia przerabia się na poezję i postacie

idealizują, że już za moich czasów królowały tam legendy.

Przypominam sobie powtarzaną wówczas historię kuliga Radziwiłłowskiego w lipcu, który miał się odbyć po drodze solą wysypanej i śnieg zastępującej.

Ale już naówczas główny korpus zamku się walił, kawały muru się osypały, oko sięgało do wnętrzów, deszcz i wicher gospodarował w wielkich salach na pierwszym piętrze. Gmach okazały, łatwo mógł być ocalonym, nikt o tem nie myślał. Pioruny i burze dokonały zniszczenia. Wjazdowa brama tylko i wieża nad nią utrzymały się w dobrym stanie i służyły za więzienie.

Tuż za miastem był klasztor Panien Miłosierdzia, około którego przechodziło się idąc na dalsze przechadzki. Około Akademii, mimo klasztoru tego i Fary, biegła w świat, ku Warszawie szosa, nad którą wielokrotnie stawaliśmy przypatrywać się przelatującym podróżnym.

Stąd dolatywały nas, niezrozumiałe naówczas, wielkie nowiny o zmianach, jakie się działy daleko. Czuliśmy tylko ich ważność po twarzach, zasepionych starszyny, która je sobie powtarzała po cichu. Miał naówczas znaczenie każdy kurier, który w galopie przesuwiał się tą drogą, każdy powóz pokaźniejszy. Z za figury św. Jana Kantego przyglądaliśmy się z ciekawością gorączkową tajemniczym postaciom, przeslizgującym się przed oczyma naszymi i niknącemi w tumanach kurzu, przy odgłosie trąbki pocztowej.



Przygoda w podróży.

9 października 1873 r.

Za dawnych, szczęśliwszych czasów, opis przygód doznanych w podróży z Botzen do Wiednia i wiekopomnego noclegu z d. 8 na 9 października w stolicy austro-węgierskiej, mógłby być nosić tytuł:

*Nieszczęśliwa godzina
czyli*

*Jedna noc w naddunajskiej stolicy ku nauce i przestrodze
nieopatrnych wędrowników spisana.*

Dziś tytuły daleko wogóle są krótsze i mniej szczegółowo zawiadamiają czytelników o tem, co ich czeka, niekiedy robią im nawet siurpryzy, opowiadanie więc moje, mogłoby, ściśle biorąc, obejść się samą datą. Lecz, do rzeczy.

Z czarownej doliny nad Adygą i Passerą wyruszyliśmy d. 7 października rano, nie przeczuwając bynajmniej, ile bolesnych zawodów czeka nas w krótkiej podróży, której program był zawczasu ułożony.

Z dwóch moich towarzyszków jeden pozostać miał w Botzen, a drugi, pocziwy płocczanin, z którym poznaliśmy się przy winogronach, losy moje podzielać aż do Wiednia, jeśli nie do Drezna.

Słońce dopiekało, na górach wisały malowniczo oświetlone chmury, powietrze było miłe, gawędząc przebiegliśmy piękną drogę do Bolzano, minąwszy pochyloną po włosku wieżycę w Terlan, gdzieśmy, obyczajem wszystkich podróżnych, sławnego wina tyrolskiego białego pokosztowali.

W Botzen raczyli nas przyjąć pod Cesarską Koroną, nakarmić wcale nieźle, i o godzinie szóstej, minucie jakiejś, według nieomylnego Hentschels' telegrafu, mieliśmy wsiąść na pociąg, idący z Verony do Monachium i do Wiednia. W tej małej nadziei, spędziwszy na gawędce pod kasztanami, ostatnie chwile pozostałe do otwarcia kasy, w chwili, gdy się odsunęło okienko jej, pośpieszyliśmy dla kupienia biletów.

W okienku ukazała się wąsata twarz urzędnika, chłodna i uważna, która na zażądanie biletów do Wiednia, objawiła nam wyrok, że — pociąg idący po szóstej wcale niema żadnego związku z temi, które do Wiednia dążą. Hentschel, czy my, cośmy go źle zrozumieli, byliśmy w błędzie, należało czekać nazajutrz, do godziny dziesiątej rano!!

Można sobie wyobrazić, jakie to na nas uczyniło wrażenie. Pan kasjer nasycił się zajątkiem naszym, jak każda pocziwa natura ludzka, zwykła cieszyć się biedą bliźniego. Siedzieć sobie spokojnie za szybą i patrzeć, jak się ludzie zwijają, zmęczeni, zbiedzeni, pod ciosami drobnych życia nieprzyjemności — jest w swoim rodzaju rozkoszą. Niemcy to nazywają: *pi-*

kant. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać w takich razach człowieka, coby okazał współczucie — prawidłem jest uśmiech szyderski.

Koniec końców, policzone mając godziny, nie mogąc tracić drogiego czasu, postanowiliśmy jechać na Salzburg i tam wyglądać pierwszego pociągu, idącego do Wiednia. Salzburg, stara arcybiskupia stolica, wart też był widzenia.

Pożegnawszy towarzysza, zapakowani do wagonu z włochami i milczącymi jakimiś postaciami tajemniczymi wyruszyliśmy z Bolzano. Wszystko znowu szło jak najlepiej, nie mieliśmy żadnego przeczucia przyszłości naszej, owszem najróżowsze nadzieje. Hentschel zapewniał, że staniemy w Salzburgu około ósmej rano, że pociąg do Wiednia wychodzi około drugiej po południu, a staje w stolicy naddunajskiej o dziesiątej. Udało się więc osiągnąć cel, nie stracić czasu, a zyskać oglądanie miejsca nieznanego, bo Salzburg był nam obu terra incognita. To nam tak zrestaurowało humory, żeśmy drzemiąc i spoglądając na księżycem oświetlone krajobrazy na Brennerze, dojechali ani się opatrzywszy do Kufstejnu.

W Kufstejnie Bawarowie zabrali się z wielką gorliwością do rewizyi tłomoków, które tylko prześlizgnąć się miały przez ich terytoryum. Ledwieśmy przekonać ich potrafili, że kufry zamknięte, idące z austriackiego Bolzano do austriackiego Salzburga, ni czem państwu niemieckiemu w przejeździe grozić nie mogły. Czy się obawiano ich exhalacyi! Nie wiem, dożyć, że bez rewizyi się nie obeszło, ale nie bez oglądania fizyognomii i zbadania ich charakterystyki.

W Rosenheim przesadzono nas na inny pociąg

powolniejszy, a ten pięknym porankiem jesiennym wyrzucił nas na stacyi kolei o trzy kroki od Hotelu Europejskiego, przepyszenie urządzonego, jakby na przyjęcie nasze. Korzystając z czasu, pojechaliśmy pokłonić się posagowi i domowi Mozarta, tunelowi arcybiskupiemu z szumnym napisem:

TE SAXA LOQUUNTUR


i ślicznemu położeniu miasta.

Obowiązek sumiennego turysty nakazywał wędrować się na starożytny zamek, pełen śladów sztuki XV wieku, rzeźb, malowniczych zabytków, — z którego wieży wierzchołka ogląda się szeroką panoramę okolicy uroczej, ale już spokojniejszej, nie mającej tego dramatycznego, namiętnego charakteru, co Merańskie dolomitowe skały.

Wróciwszy z tej wycieczki, lekką przekąską zaspokoiliśmy głód, który się nieco czuć dawał. Oba byliśmy tego zdania, że w drodze lepiej się trochę przegłodzić, a przybywszy do Wiednia, w hotelu dobrą pokrzepić wieczerzą. Układaliśmy nawet, polemicznie roztrąsając każdy punkt, nasz speiszettel wiedeński, co jeść, czego się strzedz. Ostrzyliśmy apetyt na wiedeńskie delicje. O marne ludzkie nadzieje.

W chwili, gdy kufrы przybyłe z Kufstejnu przyszło odbierać i oddawać je na kolej do Wiednia, — okazało się, że jednego z moich dwóch — nie było! Istniał nań kwit urzędowy, świadczący o jego egzystencji i wadze — kufer się ulotnił — nec locus. Urzędnicy kolejowi, znac nawykli do podobnych wypadków, przyjęli wiadomość o tem z zimną krwią i rzymskim stoicyzmem. Ja — nieszczęśliwy właściciel, z rezygnacją starego włóczęgi, któremu się już i to trafiało. Obawiałem się tylko

azali los⁷ nie dotknął tego tłumoczką, w którym były rękopisma i książki.

 Szczęściem padły ofiarą koszule tylko, cały zapas starych, miłych koszul z lepszych czasów, które już przyjaciółmi się nazywać mogły.

A do starych rzeczy tak się człowiek przywiązuje...

Przetrawiwszy to utrapienie, siedliśmy na pociąg pośpieszny, z młodem małżeństwem, damą jakąś przyzwoitej powierzchowności i staruszką, który się przesiadł z klasy trzeciej z dopłatą, co mu do nieprzyjemnych sporów z konduktorem dało powód. Jakoś się to jednak złagodziło.

Pociąg pośpieszny leciał na wypródki z wiatrem. My z towarzyszem podróży snuliśmy plany przyszłości. Mieliśmy dla większego bezpieczeństwa znalezienia od razu mieszkania zajechać wprost do hotelu Métropole, do Donau, lub Taubera.

Po małym sporze zgodziliśmy się na Métropole. Ułożyliśmy sobie wiesz, zajęcia i godziny i w szczęśliwych zatopieni marzeniach, oglądając znowu księżycem oświecone kraje monarchii austro-węgierskiej, któraby mogła być jedną z najbogatszych w świecie, gdyby umiała, — zbliżyliśmy się do stolicy.

Na myśl nikomu z nas przyjść nie mogło, po pierwszym w Wiedniu pobycie i pustkach, jakieśmy tam znaleźli, aby jakkolwiek zawód miał nas spotkać.

Był to rok wystawy.

W tem zaufaniu, choć pociąg się opóźnił, co się tu regularnie codzień trafia, jak nas zapewniano, wzięwszy fiakra o pół do jedenastej, ruszyliśmy do Hôtel Métropole.

Miasto wydało nam się wcale spokojne, uśpione,

nie dawało żadnej oznaki nadzwyczajnego ożywienia, noc księżycowa, nieco chłodnawa, przyświecała powolnej i długiej po ulicach wędrowce. Nakoniec oświecony cyferblat zegara ukazał się zdala. Otóż i hotel. Zbliżyliśmy się, fiakr staje...

¹ Na nieszczęście nie wzięliśmy parokonnego, pokazniejszego powozu, ale i z pośpiechu i przez oszczędność, skromną jednokonkę. Zadzwoił szwajcar, wyszedł oberkelner, ów absolutny pan życia i śmierci podróży. Mina jego już nam nic dobrego nie zwiastowała. Włożywszy ręce w kieszenie, oświadczył nam, że hotel cały zajęty i ani kątka dla nas w nim niema.

Próżne były błagania i ofiary, nieporuszony jak skała, wszechwładny pan hotelu zapewniał, iż niesłychanie nad tem ubolewa, że go to do rozpacz przyprawia, ale musi nas odepchnąć, gdyż hotel był zajęty. To nam dało do myślenia! Zegar wskazywał pół do dwunastej, woźnica burczał, że wozić nas z końca w koniec miasta po nocy, niema ochoty. Ledwieśmy go zdołali przekonać, że na bruk nas wyrzucić nie może. Dokąd jechać? Do Donau? Kawał ogromny.— Do Taubera? Nie mieliśmy ani pojęcia o tem, że Europa dopiero w ostatnich trzech tygodniach wystawy Wiedeńskiej opatrzyć się miała, iż ona była godną widzenia, że tłumy zbiegły się nagle zalegając wszystkie kąty. Ruszyliśmy do Taubera! który niedawno temu był pusty. Stój! Oberkelner wychodzi i zapewnia, że wszystko zajęte. Położenie zaczynało się stawać coraz przykrzejszem, a wieczera coraz problematyczniejszą. Co gorzej, sam nawet spoczynek tak potrzebny po nocy bezsennej, ulegał wątpliwości.

Szarowny towarzysz mój wpadł na myśl zgłosze-

nia się do prywatnego mieszkania, które za pierwszą bytnością w Wiedniu zajmował. Było ono po drodze do Donau, a o Donau chodziły już wieści zastraszające, że się tam ani szpilka pomieścić nie mogła.

Jedziemy. Ze Stern-Prateru mała uliczka wiodła nas w spokojne ustronie, miłe, ciche, nic nie zostawiające do życzenia, oprócz lekkiej dezynfekcyi. Powietrze czuć było przyszłością rolniczą i gospodarską w najlepszym gatunku. Amoniakalne wyziewy dusiły. A tu — gadano o choleryze właśnie. — Cóż robić, w mieście nie można być zbyt wybrednym, gdzie tylu dysze i wydycha!

Szukamy numeru ósmego! Oto jest! Dzwonienie do bramy! Towarzysz podróży rzuca się w otwarte nareszcie wrota i znika w ciemnościach — milczenie glucho. Chwila oczekiwania z brzaskiem lekkim nadziei.

Zwodnicza!! Smutny i pognębiony powraca, — ani izdebki, ani kącika, ale obok, niedaleko — Hotel garni. — Biegnę do tego garni, z trudnością otwierają, zajęty do strychu. Jutro możeby coś mogło być w ekspektatywie na poddaszu! W trzecim domu, gdzie miało się znajdować prywatne mieszkanie, odpowiedź aż niegrzeczna. Kto budzi ludzi po nocy!! Saperment! Dorożkarz, śmiejąc się, zapala fajkę.

— E! to jeszcze nic, — powiada z krwią zimną, wczoraj jednego pana, który przybył o szóstej, wozilem do pierwszej i nic nie znalazł. Śmieje się dobroduszenie Wiedeńczyk — rzecz zabawna, ale nie dla nas.

Na hałas, jaki się stał w spokojnej uliczce, otwierają się zewsząd okna, wysuwają głowy w szlafmycach i czepkach, poczcive ludziska, gemütlich przysłuchują się i przypatrują biedzie naszej. Ten i ów coś radzi i inni podkpiwają i śmieją się.

Ulica już i tak nie wonna, nepelnia się wyziewami, towarzyszącymi pracy nocnej, nad którą czuwa municypalność. Powietrze chłodne i wilgotne, — północ ponuro wybija na zegarach. Towarzysz mój zrozpaczony dobija się szturmem do dawnej swej gospodyni, wymową wielką serce jej porusza i — dają nam bosą służącą, która na Waschhausgasse u siostry tej pani ma nam wyrobić przytułek. W serca wstępuje znowu nadzieja! Wszystko to na papierze może się komu wydawać zabawnem, ale dla nas poczynało być nad wyraz smutnem. Towarzysz mój nie tyle może o sobie, co o mnie starszego i niezdrowego, był zakłopotanym. Ja zaczynałem nabywać tego humoru wesołego i rozpaczliwie, który się rodzi w sytuacjach zawikłanych. Jeździć całą noc po Wiedniu, stukając do drzwi i serc zamkniętych — było wcale niepospolitą przygodą w podróży.

Siostra gospodyni dała się rozczulić, posel przybył zdyszany oznajniając, że pokój był, ale — w stanie trochę zaniedbanym.

Jedziemy dalej. Mojem zdaniem należało bądź co bądź korzystać z pierwszego następczącego się schronienia, nie narażając się na podróż odkryć w rodzaju kapitana Cooke. Dorożkarz stawał się coraz dokuczliwszym — burczał. — Zwróciliśmy więc ku tej przystani, na uliczkę gruzów pełną. Halt! stajemy.

Dom wskazany, od góry do dołu okryty rusztowaniem, restauruje się. Wejście doń po deskach, pokładzionych dla murarzy. Powierzchność nader nieobiecująca, ale z niej sądzić się nie godzi.

Z sieni wchodzimy do kuchenki. Cóż robić! Z kuchenki do familijnego pokoju, w którym sprzęty zwa-

lone z powodu restauracyi, stoją w malowniczym nieładzie. Wśród nich gospodarz w szlafroku. Excusez du peu, pan Maksymilian Schiller! Co za imię! Żona jego typ czysto wiedeński, otyła, pełnych form, w najskromniejszej toalecie, okryta chustką, dwie panny bose z rozpuszczonemi włosami i w równie nieobfitym tylko stroju... Na pierzynach w oddali nadzieje przyszłości różnych lat podnoszą głowy, otwierają oczy ciekawe. Cała rodzina z pośpiechem gorączkowym znosi materace, kołdry, prześcieradła wątpliwego pochodzenia, aby nam usłać łoża wpośród sprzętów zapyłonych, wśród najdziwniejszego ścisku rzeczy nam niepotrzebnych a zawadzających. Dwie świece na bok w lichtarzach — słabo oświecają tę scenę malowniczą, ale niewiele dobrego wróżącą.

Towarzysz mój spostrzega, nadaremnie przed nim kunsztownie skrywane, oblicze jednego z materaców, którego cera zgrozą go napęlnia. — Niepodobieństwo!! woła — lepiej jeździć całą noc. — Ba! ale dorożkarz, odarłszy nas, wyruszył. Opuścili nas stróże, pobrawszy haracze, jesteśmy na łasce rodziny Schillerów, która hałaśliwie przekonywa, że na materacu, który wygląda tak chorobliwie, od urodzenia jego nikt nigdy nie spał, że kołdra była nietknięta i tylko dla przyjemnej barwy swej kładziona była na łożu, gwoli ubawienia oczu.

Cóż robić! śmiać się trzeba i przyjąć z ręki losu jego figiel trefny z nami. Ja się śmieję. Towarzysz mój blizki jest rozpaczy. Od Salzburgskiego lekkiego śniadanka nie mieliśmy nic w ustach. — Godzin około dwunastu. Gospodarze oprócz chleba, nie mogli nam nic dostarczyć.

Wtem, otyłej gosposi przychodzi myśl genialna.. Ma maleńki samowarek i — imbryczek czysty. U mnie w nieskradzionym kufrze znajduje się herbata. Wołamy — Hosannah! myją się szklanki. Malej jednej rzeczy nie dostaje — cukru. Zaczynam dowodzić, że zdrowszy jest napój chiński niesłodzony i że sami Chińczycy go tak zażywają. Smutne oblicze mego towarzysza dowodzi, że nie zdołałem go nawrócić. Chleb i herbata gorąca—ocalone życie!

Ale ochota do jedzenia odpada, patrząc na to, co nas otacza, pościele, z których jedna leży na podłodze... sprząty, bielizna, a nawet familię Schillerów.

Postrach cholery, chłód nocny zmusza spróbować herbaty... Zabieramy się po niej do snu, drzwi zamknięte — cisza. Lecz wyobraźnia, zaludnia pustkę tysiącami stworzeń niebywałych, okazami entomologicznymi, które zdają się wędrować po bieliźnie, grożąc nam pożarciem. Towarzysz mój z heroizmem przewyciężając wstręt, pada na poduszki, ja na wpół ubrany zajmuję miejsce mi wyznaczone, świecę zostawując na straży bezpieczeństwa.

Cisza głęboka, niekiedy z wnętrza domu słychać tęskliwy głos niemowlątka i chrapanie matron wiedeńskich. Dobranoc. Towarzysz mój zasnął, ale ze zmartwienia i głodu tak głęboko, że spał do siódmej. Ja zabawiałem się myślami i drzemaniem, a sny niedorzeczne, mieszając się z jawą dziwną, zupełnie z nią harmonizowały. Brało się na dzień, gdy świeca zagasła. Przez szpary okien wciskał się brzask poranku...

W chwili, gdy i mnie sen zmorzył, stało się coś— jak gdyby od tręb jerychońskich mury się walić mia-

ły... Stuk, łomot, trzask niewypowiedziany. Zerwałem się równemi nogami.

Murarze weszli byli na rusztowanie dom otaczające i zaczęli obijać tynki w sposób tak brutalny, że mogliby byli przebudzić nawet po tygodniowej bezsenności. Los wysilał się na udręczenie nas. Szczęściem towarzysz mój nie obudził się aż o siódmej, zdumiony tem, że łoskot, który dopiero teraz usłyszał, w początku go nie wyrwał ze snu.

Podnieśliśmy sztory, jasny dzień oświecił tę pieczarę, w której noc spędziliśmy z musu. Było to coś okropnego. Okna całe tynkiem zbryzgane, sufit popękany, sprzęty grubą warstwą pyłu wapiennego okryte, ruiny — a my wśród nich, z pamięcią o tem, żeśmy się znajdowali w znanej z rozkoszy, zbytku i pieśczoł stolicy austriackiej. Niepodobna się było nie śmiać z rozwianych marzeń hotelów i wieczerzy!

Ubrawszy się piorunem, nie tykając śniadania, wybiegłem z mocnem postanowieniem znalezienia czegoś znośniejszego. Z kilku hotelów, które objechałem, odprawiono mnie z niczem, aż wreszcie przy ulicy Tabor, w gospodzie bawarskiej, znalazł się kąt niezajęty.

Noclegu tego niepodobna sto lat żyjąc zapomnieć. Wiedeń znaleźliśmy niesłychanie ożywionym, pełnym ludzi. Wiedeńczycy postawili na swoim i doczekali się tych tłumów, które wystawa ściągnąć miała. Teraz obchodzili się z niemi, jak ze zwyciężonemi. Wszystko trzeba opłacać na wagę złota.

„Nowiny” (warszawskie) z r. 1877.

№ 23, 27, 28, 31, 32.



Zamiast przedmowy.

Przedmową długą nudzić was nie będę, —
Powtórzę tylko w Delfcie słyszaną legendę:

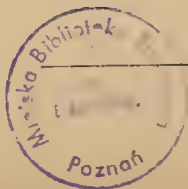
W omytem, czystem, ślicznem holenderskiem mieście,
Nie wiem pełna, lat temu trzysta, czy też dwieście,
Wśród zielonych topoli, buków i kasztanów,
Na dachach domów było mnóstwo gniazd bocianów,
Każdy się czuł szczęśliwym, gdy bociany komu
Z gniazdem błogosławieństwo usłały na domu.
Byli to przyjaciele, ludzie żyli z niemi —
Radzi, że im plugastwo oczyszczali z ziemi...
Prawo obywatelstwa zyskali, lat wiele
Żyjąc tak z mieszkańcami, ptacy przyjaciele...
W tem jednej nocy pożar wybuchł, płoną domy,
Ogień straszliwy wszystko pochłania łakomy...
Właśnie w gniazdach bocianich dorastały dzieci...
Lecz piór jeszcze nie miały, co które podleci,
Nazad spada, rodzice dźwignąć ich nie mogą...
Okolo gniazd klekocą, przerażone, z trwogą...
Co począć? Dla potomstwa ratunku już niema,
Starzy mogą ocaleć — lecz miłość ich trzyma.

Więc otuliwszy skrzydły dziatwę ukochaną,
Gdy ratować nie mogą — z nią razem zostaną...
Spłonęły... Gdyby dzieci więcej miały siły,
Czyby się dla rodziców osłabłych spaliły,
Nie wiem... a może takie prawo jest na świecie,
Że rodzice ofiarą paść winni—nie dziecię.

Magdeburg 16 lipca.

Psalm I.

Nie karz nas, Panie, za rodziców winy,
Nie karz za grzechy dzisiejszej godziny —
Miej litość — Panie — Przeciw mocy Twojej
Któż wytrwa? Czystym kto Ci się ostoi?
Znękany, nędzny, schorzały, bez siły —
Kości me wyschły — rany me pogniły,
Dusza strudzona życia resztą goni,
Panie, Tyś mocen — kto Ci się obroni?
Zwróć oczy na mnie, zmiłuj się nademną,
Twem miłosierdziem rozjaśń kaźnię ciemną —
Bo otchłań śmierci nie głosi Twej chwały,
A piekła tylko jękiem będą brzmiały,
Piersi od westchnień znużyły się, oczy
Łzy wypaliły, dzień i noc je toczy
Powieka, łóżę zalewam wciąż niemi,
Próżno pociechy szukając na ziemi —
Wróg mnie otoczył, zgrzybiałem w ucisku,
W nędzy, w rozpacz, gorzkim pośmiewisku.
Słyszę głos z góry — odżywam nadzieją —
Precz niechaj idą — niech wrogi truchleją —
Pan mnie wysłuchał — modlitwa do proga
Doszła i *litość znalazła* u Boga.



Panie, o Panie, Ty mnie rzuciłeś tak nisko —
Braciom na srom, a wrogom na urągowisko...
W końcu życia na moje osiwiłe lata,
Zamiast pieśczęt rodziny, na znęcanie kata.
Wiem, Panie, moje grzechy do tego przywiodły,
Żeś się stać musiał głuchym na płacz mój i modły.
I błaganie odtrącasz, litości godzina
Nie nadeszła dla twego zbłąkanego syna...
Jednak wołam w ciemnicę rzucony, w niewolę,
Karz, jak chcesz, zniosę wszystko i męki i bóle,
Tylko mi konać nie daj skutemu w kajdany —
Niech na swobodzie umrę, z oków rozwiązany.

Nie mieć nad głowę dachu, ni kąta na ziemi,
Być ściganym złoczyńcą, wzgardzonym tułaczem,
Przybłądą się nazywać pomiędzy swojemi,
Zaczynać dzień od jęku, a kończyć go płaczem,
Naprawdę żebrać pracy i błagać spokoju,
Szyderstwami być gnany, smagany potwarzą,
Zwyciężonym bez walki, pobitym bez boju,
Takim dziś losem Boże wyroki mię karzą...
Ale mocen i wielki Pan stoi nad światem!
I dał moc katom, aby po ich serca próbie
Niewinnych łez się pomścić nad bez serca katem,
Zemstę za okrucieństwa pozostawił sobie.

Schinzach d. 30 listop. 1886 r.

U życia schyłku stojąc, jak z gór szczytu patrzę
Na przebieżoną drogę.—U stóp mych cmentarze,
Nad nimi widma wdali nikną coraz bladsze,
Ruiny, zgłiszcza, złomy w lat długich pożarze
Zgorzałych mych nadziei, urojeń budowy —
Sam jeden przez ćwierć wieku, wygnaniec bez domu—
Tułacz nie ma gdzie złożyć osiwiałej głowy,
Ani słowem pociechy jest cieszyć mnie komu.
Nie skarżę się—o Panie—bo dusza pamięta,
Iluś mnie dobrodziejstwy wyposażył w drogę,
Jam zmarnował Twe dary — wola Twoja święta,
Czem, jeśli nie cierpieniem dług mój spłacić mogę?
Przebacz mi, jeśli krzykiem zdradzę me boleści,
Przebacz mi, jeśli krzyż mój złaman pod nim noszę,
Jeśli ciało osłabłe, spodłone się pieści —
Pomne na jasne chwile, minione rozkosze...

Psalm.

Z ciemności ciszy, z brudnego barłogu
Myśl skołataną podnoszę ku Bogu:
Panie, dla czego strąciłeś tak nisko
Dając tłumowi mnie na pośmiewisko?
Ciało znękanę ucisnęło ducha,
A litość Twoja na jęki me głucha!
Wiem ja, o Panie, że winy własnymi
Chłosczą mnie grzechy i wgnioty do ziemi,
Lecz Tyś wszechmocny, gdy przepuścisz winę,
Panie—odżyję i marnie nie zginę.
Patrzaj—od kości odpadło mi ciało,
Na płacz leż, na jęk oddechu nie stało,
Wołam Cię rano, wołam nocą ciemną,
Panie, ulituj—zlituj się nademną!
Pierzchnęli wszyscy, którzy przy mnie stali
I duchem nędzni i sercami mali,
A nieprzyjaciół urąga się nędzy—
Panie—o Panie, przyjdź w pomoc co prędzej!

Wiem, niezbadane, Panie, są wyroki Twoje,
Nadzieją miłosierdzia boleść moją koję —
A upadam przed Tobą — z prośbą tylko jedną:
Niechże tutaj nie konam — w godzinę pośledną,
Niech odetchnę swobodny!...

Tak się idzie życia drogą:
Raz słonecznym dniem, to słotą,
Kamień, błoto, bijąc nogą,
To ze smutkiem, to z ochotą!
Ze znużeniem, to z nadzieją,
Lecz iść trzeba, dalej — dalej,
I z pogodą i z zawieją,
A kto Boga w drodze chwali —
Kto kraj kocha, ludzkość, braci,
I męstwa nigdy nie traci —
Ten, mój młody przyjacielu,
Spokojnym stanie u celu.

Tułactwo

Wiecznem tułactwem skarany
Nie wiem, gdzie kości położyć,
Lecz nie w mej Polsce kochanój,
Bo ta mnie przyjąć nie może.
Biję się o klatki ściany,
Coraz to nowe mam łoże
I żywot ten oplakany...
Wiecznie wiedzie na bezdroże...
Jak Ahaswer błdzić muszę,
Nigdzie nie mając spokoju...
Zaledwie uśpię mą duszę —
Zaczerpnę z jakiego źródła—
Łos nową puszcza katuszę,
Dla nowych męki i znoju...
I goni dalej a dalej:
Do gdzieś zakrytej mogiły,
Gdzie i ludzie mnie nie znali
I gdzie mi lud nie był miły,
Po latach dwudziestu znowu
Dokąd mnie teraz zapędzi?
Dla jakich strapień połowu...
Na jaką przepaść krawędzi?

16 czerwca na Pilnitzer-Straße,

Błogosławieni.

Błogosławiony naród, co w kajdanach jęczy,
Co w niewoli żelaznej zakuty obręczy,
Znosi urągowiska i znęcanie gminu
W męczarniach, które Bóg sam ponosił w swym Synu.

Błogosławiony, kogo przez boleści łoże,
Prowadzisz do zbawienia, wiekuisty Boże!
Błogosławiony, kogo Opatrzności ręka
Do żywota obudza, gdy chłoscze i nęka.

Błogosławiony naród, rodzina i człowiek,
Którym krwawe łzy płyną z pod skrawionych powiek,
Błogosławione katy, dyby i pręgierze,
I ofiary, które Pan na swój ołtarz bierze,
I jęki, które z piersi męczeństwo dobywa!
Błogosławiona wszelka doba nieszczęśliwa!...

Bo tylko przez boleści uświęcić się mogą
Ludzie, bo się do niebios idzie ciernia drogą!

Błogosławione usta, które chwałą Boga,
Gdy na pastwę wydana spuścizna ich droga,
W pośród szyderstw szatańskich przez krwawe oprawce,
Służy pijanym tłumom ku sprośnej zabawce!

Błogosławione oczy, co łzy wyplakały,
Błogosławiony człowiek, ród i naród cały,
Których smaga zwycięzca, gnając na pustynię,
Bo Bóg gwiazdę przewodnią zażgnie nad ich drogą
I żadna łza, jęk, boleść darmo nie przemienie,
Ani siły żywiołu zetrzeć ich nie mogą.

Błogosławieni wszyscy, których czyste dusze
Wybiełone, promienne, przeszły przez katusze,
I nie zwątpiły nigdy pod przemocą wroga,
Ani o prawdzie świętej, ni o mocy Boga!

Błogosławione tłumów szalonych ofiary,
Błogosławione katy i męczarń narzędzie,
Błogosławione bluzgi, szyderstwa i kary —
Bóg krzyża jest ich wodzem, Bóg ten z nimi będzie!
A pijaną tę tłuszcę, wśród szalów rozkoszy,
Grom doścignie i wichrem zniszczenia rozproszy!

San Remo. 27 kwietnia 1886.

Jak muszki, dla których życie jest godziną,
Jak cienie, które w oczach rodzą się i giną,
Jako kwiat, który ledwie otwarty — więdnije!
Człowiek jest, jego życie, szczęście i nadzieje...

O szczęśliwi, swobodni, choć was bieda bodzie,
Filozofy bez butów, poeci o głodzie —
Dlaczego tak płaczą na los się skarżycie?
Ma świat swoje uroki, ma swe wdzięki życie.
Jeśli tylko nad niemi, mili bracia moi,
Żołnierz bagnietem zbrojny na straży nie stoi.
Jeżeli was oprawca pod kluczem nie trzyma —
Każdy ruch szpiegowskieni ścigając oczyma...
O! ty swobodo droga — ty jesteś jak zdrowie,
Ten, który cię postradał, ceny się twej dowie.
Ociężałe powieki po nocy bezsennej
Ledwie się przymykają, gdy brzask świtu dzienny,
Gdy bęben brzmi już z trąbką, broni słyszać szczęki—
Wówczas dzień się poczyną.. a z nim noce męki...

Magdeburg.

Pamięć ludzka jest jak rozbite naczynie —
Co dzisiaj w nie naleją, to jutro wypłynie.

1881.

Jak boleść wielką,—niech będzie odwaga...
Niech bicz żelazny winowajców smaga...
Niech dłoń z nich zedrze szatę, która kryje
Podlego lisa i zatrutą zmiję...
O! bez litości trzeba być, bez serca...
Niech pieśń z furjami polecą krwiożercza
I wpije w łono, co występkiem żyło —
Zło wydrzeć trzeba i chłostą i siłą;
Słodkiemi próżno mówić do nich słowy,
Śpią przy ich szmerze, lub podnosząc głowy,
Śmieją się, mówiąc: „Niech gderzą bazarze —
My po staremu żyjemy!” Niech pieśń karze,
Niech ściga, bije, i karci, i smaga...
Jak boleść wielką, niech będzie odwaga!

Trójpłomyk.

Trójpłomykiem życie płonie,
Odżywiając ludzkość starą,
Nie umrze, póki ma w łonie,
Miłość z nadzieją i wiarą!

I człowiek, gdy zwisną dłonie,
Szron ubieli głowę starą —
Szczęśliwy, gdy ma przy zgonie:
Miłość z nadzieją i wiarą.

19 mar. 1884 (we śnie).

Bóg jeden wie, dlaczego zsyła nam na domy:
Temu pociechę—gwiazdkę, innym ból kryjomy,
A co się z jego ręki na dzieci wyleje,
Czy kielichy goryczy, lub słodkie nadzieje—
My wszystko błogosławmy, bo wszędzie jest ziarno—
Co latami dojrzałe, przyszłe wieki zgarną.

Dary pielgrzymy.

Dary moje ubogie... lecz nie gardźcie niemi —
Uboga ziemia nasza, Bóg żył z ubogiem,
A choć króle doń z datkiem wędrowali drogim,
Błogosławił i słowem i życiem ubogim.
Więc na drogę żywota dani ci kij pielgrzymy —
Laskę wiary, niech wasza dłoń ją zawsze trzyma,
A choć dziś lekkie kroki i bez niej stawicie...
Któż wie, co jutro niesie... gdzie powiedzie życie...?
Może zabraknąć siły, może słabnąć noga —
Laska upaść wam nie da i odżegna wroga.
Na pielgrzymkę żywota za sakwę podróżną,
Daję wam miłość tylko, z nią nie będzie próżną,
W niej skarb niewyczerpany, w niej chleb weźcie duszny,
Nim świat przezwycięzycie — będzie wam posłuszny.
Na pielgrzymkę żywota za suknię pielgrzymy
Szara wam tylko daję opończę pokory...
Świetniejszej nad nią szaty ludzka duma nie ma...
Bo Bóg Zbawiciel krwią swą wyszył na niej wzory...
Tak odziani i zbrojni... niech Bóg was prowadzi,
Idźcie z spokojem w sercu... nie dotknie was dola...
Bóg opatrzy, zaradzi dla swojej czeladzi,
Niech wszędzie jego łaska spełni się i wola!

Modlitwa.

Ty, coś chrestnej sukienki nie skalala niczem,
Z duszą, jeszcze dziecinna i sercem dziewiczem,
Za nas, cośmy się ziemią i myślą zmazali,
Których dusza w pożarze i serce się pali,
Za nas, co krwią i łzami i cierpieniem zgięci
Cierpim, a nie umiemy modlić się przekłęci

Módl się za nas! a naprzód za tych, co wśród boju,
Zapomnieli modlitwy i w jej świeżym zdroju,
Nigdy już wargi spiekłej ostudzić nie mogą!
Co zbłądzili za prawą ganiając się drogą,
Których głowa powiodła przeciw serca woli —
Módl się — straszne ich męki — Niech ich Bóg wyzwoli.

Módl się za umęczonych światem, sobą, losem,
Co padłszy, nieustannym dogniatani ciosem,
Ani podnieść się więcej, ani wytchnąć mogą,
I okiem tylko w niebie, o spokojność drogą,
O wytchnienie się modlą — ale modły swemi,
Nie mogą się od czarnej wzbić ku niebu ziemi.

Módl się za obłąkanych! których niesie ciało,
Co porwani falami, próżno pierś zboleła,
Chcą nawrócić ku jasnej, pogodniejszej stronie —
Ledwie ręce unieśli — znów się grążą w tonie —
I łzami każdy błąd swój oblawszy krwawemi,
Jutro tęsknią za błędami i łzami swojemi.

Módl się za wrogów naszych! serca opoczyste,
W które światło niebieskie nie zajrzało czyste,
Co ciennościami stojąc, nienawiści tylko
Rozświecać się pożarem i mroczyć za chwilę.
Módl się za tych, co nigdy miłości nie mieli,
I mogąc kochać—nawet przebaczyć nie chcieli.

Módl się ty za nas wszystkich, za starce i dzieci,
Bo twa modlitwa czysta do nieba polecie,
Bo może jej Bóg prędzej, niż naszej wysłucha,
Płynącej z serca twego i z czystego ducha...
I może kiedy okiem potoczysz po świecie,
Mniej nieszczęścia, mniej bólów ujrzysz, moje dziecię.

Gdzie?

Gdzie minione
Niezwrócone
Dni młodości i nadziei?
Goście mili
W świat ruszyli,
Za latami po kolei!

Przed mrozami
Ptak stadami
Gdzieś w cieplejszy kraj ulata,
Marzeń roje
I sny moje,
Do młodszego płyną świata!

Mnie zostało
Słabe ciało,
Bez strun, gęśla potrzaskana,
Łez garsteczka
I troszeczką
Wspomnień, zebranych za rana.

A pamiątki,
Liści szczątki,
Co się niegdyś zieleniły...
Drogie skarby
Woń i farby
Już na wieki utraciły!

Gdzie minione,
Nie zwrócone
Dni młodości mojej miłej?
Drogie skarby
Woń i farby
Na wiek wieków utraciły!

Ja się jeszcze
Z niemi pieszczę,
Jakby dawnym były kwiatem,
Bo mi one,
Choć zwiędnię —
Całym teraz moim światem.

1853 r.

Piosnko ty moja, uboga i cicha,
Dlaczegoż jeszcze świat ci się uśmiecha?
I chcesz ulecieć w mej piersi uśpioną
W tę wrzawę, w której tyle pieśni kona? ...

U kolebki.

Śpij dziecino,
Śpij dziecino,
 Śpij!
Niech ci płyną:
 Sny złocone,
A powieczki
Utrudzone
Aniołeczki,
Niech skrzydłami
Ci osłonią,
Niech rączkami
Złe odgonią!

Śpij dziecino,
Śpij dziecino,
 Śpij!
Snu godziną
Siła, zdrowie
Niech ci spłyną,
Na twojej głowie
Promienieją,
Serce wdowie —
Niech otworzą
Znów nadzieją,
Łaską Bożą.

Jak kołebka dziś matczyna,—
Na sen słodki cię kołysze
Każda życia niech godzina
W taki spokój, w taką ciszę,
Tak na rękach, cię porusza,
Śpij mój drogi! Wspomnę życie!
O! zakrwawia mi się dusza,
I lzy leją się obficie...
Jak unosi się kołyska —
Bodaj los cię niósł na ręku,
Anioł Stróż u boku zbliżka
Drogą życia pomaleńku —
Wiódł do celu — Drogą prawą!
A! dlaczegoż prawa droga
Taką ciężką, taką krwawą?
Biedna! Módlmy się do Boga!

Skąd ten wicher? burza taka?
Śpij dziecino!
Śpij dziecino!
Leci stado kruków, kraka...
Zimno, straszno, o mój Boże,
Gdyby wicher, szum obudził...
Głośniej śpiewać by mu może?
On tak płaczem się już strudził!
Śpij dziecino!
Śpij dziecino!

Luli, luli! ciepło w chatce
 Śpij dziecino!
 Śpij dziecino!
Sen już mruży oczy matce —
A ty jeszcze kwilisz mały?
Jeszcze sen ci nie przychodzi!
Czy te kruki, co krakały?
Czy ta burza sny odwodzi?

Lepszy los niech Bóg da tobie!
 Śpij dziecino!
 Śpij dziecino!
U kolebki jam w żałobie —
Ojca nie będziesz znał mały,
Spytasz kiedyś mnie o niego
A łzy, które cicho biegą,
Będą ci odpowiadały!
 Śpij dziecino
 Śpij dziecino!

9 list. 1845 r. Gródek.

Nowy rok.

Rok Nowy! Witajmy rok Nowy,
Choć włos nam siwizną przyprószy,
Choć cierniem opasze nam głowy,
Choć łzy wycisnie nam z duszy —
Rok nowy! *Witajmy rok Nowy!*
Choć prawda się zaćmi na chwilę,
Choć fałszu nas wrzawa zagłuszy,
Choć prawo da złamać się sile,
My wiarą tą krzepmy się w duszy,
Że każda łza w krzywdach przelana —
To lepszej przyszłości jest ziarno,
Że wszystkie zliczone u Pana,
I żadna nie *pójdzie na marno*.
Więc choć nas sinagają katusze,
Choć burzą nam grozi rok nowy,
My w górę i serca i dusze
Podnośmy i oczy i głowy —
Witajmy, witajmy rok nowy!

Niema straszniejszej pychy nad ową z szatana
Co jest w pokorę przebrana,
Która się korzy, na kolana pada,
A w której sercu jest zdrada!

25 lut. 1880.

Boleść.

Jak przez rozbite naczynie
Drogi napój strugą płynie,
Tak z rany w piersi człowieka
Życie płynie i ucieka.

Jedno — ach! jedno nie ginie —
Boleść! ta w każdej godzinie:
U brzasku i u zachodu,
W starości równo i młodu,
Jak się do piersi przypije,
Z człowiekiem do śmierci żyje.

Gdy wśród wesołego grona,
Wśród blasków, woni i dźwięku —
Westchnienie wyrwie się z łona,
Głowa zawiśnie na ręku,
Chmurą zapłyną ci oczy,
I łza się z powiek potoczy —
Nie wiesz, skąd ból się ten rodzi?
Serca z trwogą badasz rany —
Daj płynąć łzom twym powodzi —
Świat ci się marzy nieznany!

Piosnka.

Ziemio — ziemio rodzicielko,
Czemu w twoje zimne łono
Wsiąkasz krew wylaną wszelką
Każdą łzę w nią uronioną?
Kości stare bierzesz w siebie,
I pożerasz je niesyta?
A człek próżno, próżno pyta
O krwi, kości, łez pogrzebie...
Ty zakwitasz, rok zakwita
I mogiła się zieleni,
Słońce jasne tobie świta,
Jasno przyszłość się promieni,
A przyszłości gdzie są ślady?
Gdzie leżały nasze dziady?
Gdzie lży ciekły, krew się lala,
Trawa liście puszcza bujnie,
Rolnik plony ma podwójne
I nic po nich, nic w pamięci,
Jeśli lud nie da pomnika,
Jeśli piosnka nie oświęci, —
Co się rodzi — żyje — znika.

O! ubogiemu bodaj się nie rodzić —
Z potrzebą walczyć, przed światem się kłaniać,
Dziurawą szatą sromotę osłaniać
I nadziejami puste życie słodzić!
I jestże gorycz, której im oszczędza
Świat-tyran, ludzie, co nieszczęściem brzydzą,
Upokorzenia, choroba i nędza,
Krórych ubodzy na sobie nie widzą?
Jestże przez życie, jak długie, jak wielkie
Chwila oddechu i chwila spokoju?
Rzucił-że los nam, choć miodu kropelkę,
Do żółciowego ubogich napoju?
Cierpieć i cierpieć, a nigdy narzekać,
Bo narzekanie, o! jak zawsze wstrętne,
Od jęków naszych świat będzie uciekać,
Zamkną się uszy i serca niechętnie.

Chociażby dusza była spragniona i głodna —
Żadnej życia rozkoszy nie dopijaj do dna,
Ażebyś z upragnionej nie zrobił przeklętej, —
Na spodzie wszelkiej czary jest gorycz i męty!

Lipiec 1865 r.

Gdy wieczór zwolna spuszcza się na ziemię,
Do snu kołyszac gwały tajemnemi,
I wszystko zda się usypia i drzemie,
I wszelkie głosy wznoszące się z ziemi,
Są jakby pieśnią, przy dziecka kolebce,
Którą, co chwila matka ciszej szepce:
Jeden głos tylko tę ciszę przerywa,
Jeden, a wszystkim do serca uderza,
Dzwon, co z kościołka w dali się odzywa
Do wieczornego wołając pacierza.
Wszyscy pokłękli, głowy pochylili...
Modlą się cicho — dzwon jęczy w oddali...
I jęki dzwonu przeszłość im zbudziły,
Modlą się — twarz ich na cmentarz zwrócona,
Szuka tam krzyża, co wyrósł z mogiły,
Modląc się także podnosi ramiona,
Każdemu w oczach łza smętna się wije,
I dzwon bić przestał — serce jeszcze bije...
Wieczorem życia, jak ten dzwon kościoła,
Ozwie się w duszy poety wspomnienie,
On je wyśpiewa, może niem wywoła,
Łzę z czyich powiek, serca uderzenie...
O! nie nad sobą, nad groby waszemi...
Każdemu płakać dość nad straty swemi...

1854.

Dlaczego płyną wody?
I zielenią się trawy,
I kwiat wśród niepogody
Kielich rozwarł jaskrawy?
Dlaczego ptak od gniazda
W kraj nieznany ulata?
I jasna spada gwiazda
Za ciemne krańce świata?
Myśli moje, ptaków stada,
Poco lecieć w kraj nieznany?
Tam kraina złudzeń błada,
Zimnych lodów białe ściany!
Myśli moje, wodne fale,
Poco w zapomnienia morze
Tak spieszycie w rączym szale
Skąd nikt wyrwać was nie może?
Myśli moje, traw zieleni,
Poco w górach się krzewicie?
Na was pasterz trzodę żenie —
Bydłu pastwą posłużycie...
Myśli moje, kwiaty moje,
Po co kwitnąć w szalach burzy,
Może chmur tych spełzną roje,
Może słońce się wynurzy?
Myśli moje, gwiazdki małe,
Po co w ciemną dal spadacie?
Czyż ludzkie oczy ospałe,
Otwieracie, rozbudzacie?

Gwiazdom, kwiatom, ptakom, pieśni —
Nie rozkaże wola człeka —
W piersi, co chwila jej cieśniej
Rozwarła skrzydła — ucieka...

Smutne, biedne, nasze życie,
Za tumany, za chmurami,
Gwiazd nie ujrzysz na błękiecie,
Ni zieleni pod nogami.

Chmurno w niebie, a gdy słońce
Na chwilkę się nam wychyli,
Złotych nas promieni końce,
Musną i znikną po chwili!

Smutne życie, ludzie smutni,
Bo czyż sercom ich dać wiarę?
Na uczucie dziś rozrzutni,
Jutro — w kąt pamiętki stare!

Kiedyś — ktoś nas posłucha,
Kiedyś może zrozumie...
Duch przemówi do ducha...
Serce znajdzie się w tłumie...

Kisiele. 1854 r.

Pieśnią, myślą, uśmiechem,
Do was lecę, druhowie!
Pieśń mej duszy oddechem —
Pieśń wam duszę mą powie!

A daleko, daleko
Pieśni lecieć za wami,
Wy za siódmą gdzieś rzeką,
Za górami morzami!.

Pieśń wam niesie witanie,
Myśl, tęsknotę za wami,
A gdy u was, tam, stanie —
Przyjinięcie ję sercami?

Bom ję z serca wyśpiewał.
Bom ję z wami wynucił,
Odpowiedzi spodziewał —
I wzrok ku wam obrócił.

I napróżno czekałem,
Wiatr mi chłodno w twarz wieje,
Burzę tylko słyszałem —
Tracę wraz z nią nadzieję!

Czuję, w pierś mą życie wchodzi,
Krew po żyłach płynie chyżej,
Nowe światło oczom wschodzi,
Niebo dalej, ziemia bliżej.

Czuję młodość, jak gorąca,
Na swem łonie mnie rozgrzewa —
Jak z jej dłoni krew stygnąca
W wiosny potok się rozlewa.

Czuję świat, żyję z naturą!
Każde jej drgnienie drży we mnie —
Szumię lasem, lecę chmurą,
Z wszystkim się zlewam tajemnie!

Mój Boże, jak wam trzeba hałasu i wrzasku,
I świecideł jaskrawych i cacek i blasku,
A co ciche, co skromne i idzie w pokorze,
Choćby ze złota było — przebić się nie może.
Taka natura wasza o pstropiórne dzieci,
Szych wam lepszy nad złoto, bo zdaleka świeci...
Ale i szych i złoto niedługo w estymie,
Co ranne mgły przyniosły — znikło wieczór w dymie.

Odejdźcie bez słowa...

Nie dziwcie się smutkowi memu i tęsknocie,
Gdy serce me przeszywa ciosów, cierni krocie,
Gdy rozpaczą targane, miota się, — nie ludzi
Dłoń przyjazną odpycha i stroni od ludzi...
Niech litość—nie—pogardę, ten szal w was obudzi!..
O! przebaczcie mi wszystko, Bóg wam też przebaczy,
Jam biedny... ja upadam w tęsknocie, w rozpaczy,
Ja się tarzam, w boleści, jam oszalon sobą —
Serce mam w łzach, a duszę okrytą żalobą.
Ja sam nie wiem, co czynię, co myślę, co mówię.
Litością —nie pogardą leczcie serca wdowie.
Przebaczcie mi, gdy oczy zamykam, gdy stronię,
Kiedy słów słuchać nie chcę i odpycham dłonie...
Ja łaknę samotności, z wspomnieniami, w sobie,
Zamykam się wpół żywy, jako w martwym grobie,
Świat ciężki, uśmniech razi czcza mi wasza mowa,
Darujcie i odejdźcie... odejdźcie bez słowa...

Bracie mój, wszystko jednych praw na świecie słucha:
Były lata miłości — dziś lata obucha —
Po nocy dzień, po rosach nadeszła posucha,
Cierpliwości! przejść musi panowanie pięści,
Jeśli nie nam, to dzieciom dożyć się poszczęści.

Z i e m i o...

Ziemi lechicka, matko moja święta,
Krwią ofiar użyżniona; kto pod włoskiem niebem
Za twoją twarzą smutną, za razowym chlebem
Nie tęsknił i nie płakał, kto cię nie pamięta —
Niech jego pamięć będzie u braci przekłęta!
Cmentarzysko ty stare, świątynio w ruinie...
Każdy strumień twój zda się łązy gorzkiemi płynie,
A gdy wicher zaszumi twą starą dąbrową...
Słyszać w nim jęki, szlochy i pieśń pogrzebową...
Smutek tu mówi z drzewa równie jak z człowieka...
Ale urok w nim taki, tak ciągnie zdaleka,
Że od szczęścia na twoje żalości ucieka
Czyja się tu do życia otwarła powieka.

Ś m i e r ć.

Człowiek jest trawą—przez dzień się zieleni,
Człowiek jest kwiatem, co kwitnie godzinę...
Ziemia jest plamką na niebios przestrzeni...
Cierpię... i tem się pocieszam, że zginę...
I liczę chwilę... a każda mnie chwila
O krok do ciszy i do snu przybliża...
I cierpiąc czuję, że boleść wysila...
Że pędzi ku mnie wybawczyni chyża.
Za cóż cię słodki zapomnień aniele,
Nazwano śmiercią, malując poczwarnie?
Tyś biały, jasny, dłoń twa łoże ściele...
Na którym błogo wieczny sen ogarnie.
Jak dziecię duszę przytulasz do łona,
Kołyszysz słodko, obmywasz ją łzami,
Ażeby jak ty, biała, oczyszczona —
Wzleciała w niebo razem z aniołami.
Tyś nie jest śmiercią, tyś jest życiem nowem,
Ale cię człowiek złem oplamił słowem,
Uczył strasznym, ażeby duch żywy,
Nie pragnął z ziemi ulecieć... szczęśliwy!

H y m n.

Z szatą rozdartą, w prochu i żałobie,
O Panie, ręce wyciągam ku Tobie —
Spójrz na boleścią wynędzniałe ciało:
Łez na płacz, tchu mi na jęki nie stało.
Pragnienie w wnętrzu zapala pożogę —
Umieram, Panie, a umrzeć nie mogę!
Dzień każdy wiekiem, straszniejsze męczarnie,
Gdy noc ciemnością cały świat ogarnie.
Naówczas próżno znużona powieka
Snu błaga, kiedy sen od niej ucieka.
I widma z grobów powstają przedemną:
Błade, milczące, przez noc ciągną ciemną,
Całego życia mego niosą dzieje:
Urągowisko z ust ich na mnie wieje,
Stają trupieni paląc mnie oczyma,
Znikną, wracają... odpoczynku niema.

Magdeburg 1884.

Są lata...

Są lata, w których role odżywione wiosną
Cudownie jednym zieleń niesianem porosną,
Tak rumianek i stokłos, mietlica, bławaty,
Naprzemian łany nasze w różne stroją kwiaty.
A gospodarz co posiał pszenicę i żyta...
Wzdycha i o zagadkę Kalendarza pyta...
Tak i na naszej roli rosną naprzemiany...
Owse prozy, kwiat pieśni, albo nie posiany
Chwast dziki, a wie Pan Bóg chyba tylko w niebie
Skąd się ziarno to bierze, kto je w roli grzebie...
Sieją poezję złotem, prośbami, zachętą —
Rosną czcnych słów łopuchy lub lodygą krętą,
Dowcipnie o swej sile na tyczkę się spina,
I chce drzewko udawać... a przyjdzie godzina,
Że choć nikt nie pomaga, nikt nawet nie słucha,
Wykwita pieśń, gdzie była ziemia tylko sucha,
Bo duch wieje kędy chcę... z krwawego zagona
Nim pszenica urodzi... ot trawa skoszona...
Osty, gorzkie piołuny i dziewanna ploną,
Garść zapiekłego bólu i żółć czczego słowa.
Wiele słów się przelało przez niewdzięczne uszy,
Mało poszło do serca, trafiło do duszy,
Ale słowo wiekuję, choć zbutwieje karta —
Żyje, jeśli ma życie pieśń na niej zawarta.

I w lat tysiąc poświadczy o cierpianem bólu.
Nie troszcz się — jeśli siejesz pustą garść kąkolu —
To zginie — jeśli myśl jest w twojej pieśni ukryta —
Ktoś ją kiedyś odgrzebie, chwyci i przeczyta.
Nie nam dziś pisać słowy... krwią piszemy dzieje,
W tej krwi unaczam pióro i żółci doleję
I piersi me rozedrę, wezmę prawdę całą,
Wyrzucę, by się choć raz zadość duszy stało!
Patrzę... szukam człowieka — drobne pełzną karły,
Naród jakiś bez woli, lud jakiś zamarty,
Głowy bez oczu, usta bez głosu, a czoła,
Na które i policzek wstydu nie wywoła.
Gdzie życie? chyba w grobach! gdzie życie wyciekło?
Przez szpary egoizmu wyssało je piekło...
Pusto, okropnie cicho na polu cmentarnem
Siedzi błazen z uśmiechem i licem poczwarnem
I dmie w jakąś fujarkę na grobie macierzy...
Otóż, co nam zostało z kapłanów, rycerzy...
Zniewieściale pacholę, co śmiechem i płaczem
Świadczy, że żyje życiem bez życia... żebraczem...

Anioł śmierci.

Czego śmierci się boicie?
Życie — śmierć, a śmierć to życie!
Nie koścista to poczwara,
Która z kosą przez świat leci,
Ale czuła matka stara,
Co do łona tuli dzieci.

Czego śmierci się boicie?
Życie — śmierć, a śmierć — to życie?
Gdy ostatnia przyjdzie chwila,
Od jej boku anioł leci,
Uśmiech usta mu umiła,
Gwiazdka mu na czole świeci!

Czego śmierci się boicie?
Życie — śmierć, a śmierć — to życie..
Skrzydła złote ma anioła,
Szaty jego purpurowe,
Słodkim głosem na nas woła,
Śmierć — to tylko życie nowe.

Czego śmierci się boicie?
Śmierć—to tylko nowe życie!
Lekko skleja nam powieki,
A gdy dusza już ulata
Niesie ją, hen! w kraj daleki
Z twardych objęć tego świata!

Wy co żółcią się poicie,
Módlcie się o nowe życie!
Jako dziecię matka pieści,
Jak kołysze nieuśpione,
Tak po tem życiu boleści,
Słodko wzlecieć w niebios stronę!

Czego śmierci się boicie?
Życie — śmierć, a śmierć — to życie!
Znowu wolna dusza młoda,
Na jasność oczy otwiera...
A!—tam szczęście, tam swoboda,
O! szczęśliwy — kto umiera...

Gródek 1845 r. 10 listop.

C z ę s t o...

Często słów braknie, kiedy dusza cała
Myślą i czuciem rozgore i pała,
Ale nie sądźcie z milczenia człowieka,
Chociaż chłód śmierci usta mu powleka —
Gore tam ogień w popiołów pościeli,
Gore zamarły, nim płomieniem strzeli!
A gdy się w głębię biednej duszy wзира —
Słowo spalone na ustach umiera.
O! są szczęśliwi! którym Bóg dał mowę,
Sługę posłuszną i zawsze gotową,
Których myśl strojna, barwna i skrzydlata,
Ptaszczeniem z piersi, westchnieniem ulata...
Ale tych więcej, którym czucia siła
Piersi zamknęła i usta stuliła,
One zamilkną mimo łez, rozpaczy —
Niechaj im litość dla „serca” przebaczy.

11 grudnia 1851 r.

Ziarna Boże.

Rozsianiśmy po świecie — siały ręce Boże,
Wiedzą one, gdzie ziarno upadło z Ich woli,
Jedno wszędzie za wieki, drugie jutro może,
Trzecie zginie na skale, czwarte wśród kąkoli...
Ale każdy z nas ziarnem na łanie i skale...
Komuś na pożywienie, a Jemu ku chwale.
I czy z nas chleb zamiesza, czy nogi przechodne
Podepczą, czy zwierzęta nakarmią się głodne,
My rośnijmy po cichu i cierpmy w pokorze —
Będzie wśród ziarenek pustych jedno pełne może!
Któż wie, gdzie ono rośnie, gdzie wszędzie, dojrzeje;
Módlmy się, wyglądajmy i miejmy nadzieję!

Wiosna zwodnica...

Czy to wiosna? czy zwodnica
Zima twarzy jej pożycza?
Ptak szczebiocze — słońko grzeje —
Czekać, czy już mieć nadzieję?
Czy to wiosna? a! to ona...
Umajona... ukwiecona...
Okiem fiołków już się śmieje —
Czekać, czy już mieć nadzieję?

Czy to wiosna? wszak skowronek
Na mszę roczną bije w dzwonek
Radosną nowinę sieje...
Czekać, czy już mieć nadzieję?

Czy to wiosna? wszak dokoła...
Zwierzę, ptaki, niebo... zioła,
Wszystko nową szatę wdzieje —
Czekać, czy już mieć nadzieję?

Czy to wiosna? a! zwodnica?
W sinych chmurach bladolica,
Zima znowu chłodem wieje...
Poszły wiosny z nią nadzieje!

Kisiele 22 kwietnia 1854.

Niech nauki Chrystusa nic w sercach nie zaćmi
Jednego ojca dzieci, bądźmy sobie braćmi!
Otwórzmy sobie serca i podajmy dłonie,
Każdy uciśniętemu niech staje w obronie!
A gdy wróg nam urąga, ponieważ, smaga,
Niech się rodzi nadzieja i rośnie odwaga...
Bo godzina się zbliża, a w sądu godzinie
Nikogo sprawiedliwość Boża nie ominie.

San-Remo 24 kwietnia 1886.

Śnieg pada.

Cicho — śnieg pada... Jest to uroczysta chwila...
Szary kwiat się jesienny na zimę przystraja,
Żaden najlżejszy powiew powietrza nie wzrusza.
Przed chwilą suchy, smutny krajobraz jesieni
Cudem jakby w rzeźbiony z marmuru się mieni...
I najmniejsza gałązka i badyłe suche
I chwasty płotów i trawy uschnięte —
Wszystko się tak maluje dobitnie i jasno,
Jakby ręka kunsztmistrza ten obraz wykuła,
Odżyły drzewa, stoją na tle niebios szarem —
I każde z nich swą własną odzyskało postać.
Cicho... śnieg pada, miękko, pieszcząc się na ziemię..
A wśród tej uroczystej ciszy czuje dusza,
Że całun opiekuńczą jest ziemi osłoną...
I że się pod nim życie wiosenne uchowa...
Śnieg pada i na jutro ściśle się ponowa.

N a m...

Nam zbierać kamienie, nam w gruzach się grzebać,
Nam łzami obmywać pamiątki bolesne,
Niczego nie spodzierać, niczego się nie bać,
Bo żale zapóźne, nadzieje zawczesne.
Wam marzyć wzniesionym na sile swych skrzydeł
I chwytać obłoki, pić blaski słoneczne,
I roić w orszaku młodzieńczych mamideł,
I w „jutro” jak w słońce wznieść oko bezpieczne!
Wam biec za kwiatem, wam lecieć za marą,
I porwać olbrzymem na nieba zdobycie —
Szczęśliwsi z nadzieją, z odwagą i wiarą,
O! gdyby to dłuższem być mogło to życie!
Lecz jutro i wasza skroń zblednie wśród burzy
I pierś się rozpadnie uczuciem brzemienią
I oko zapłacze i czoło zachmurzy
I przyjdzie zwątpienie i rozpacz jesienną!

Jakaż to moc, potęga, jakaż siła skryta
Sprawia, że z czarnej ziemi jasny kwiat wykwita?
Jaką siłą z śród czerni albo z łona gminu
Powstaje i wyrasta mąż słowa i czynu?
Nie dziwuj się na kwiaty patrzaj i na ludzi:
Bóg tchnął, i nicość drgnęła i żywot się budzi.

Kaczorów. 28 czerwca 1857.

W i o s k a.

Któż ci nie śpiewał, nie wzdychał do Ciebie,
Porcie znękanych, marzących schronienie,
Wiosko, na której wyjaśnionem niebie,
Lśni się nadzieja, promieni wspomnienie?
Jak mi spokojność twoja się uśmiecha,
Jak gwar twój mile ucho budzi moje,
Jak droga dla mnie twoja cicha strzecha!
I drzew twych szumy i ptaków twych roje!
Miasto — to kupa gruzu, skrzydłami szatana
Pokryta i zginilizną złocistą nadziana —
W niej ludzie ciągłym bojem i ciągłym pragnieniem
Walczą w sadzy oddechu, pod dymów sklepieniem,
A na ołtarze... świątyń postawili człeka
I wielmożności jego biją czołem kornie,
Nie widzą, co przeżyli, ani, co ich czeka —
Udręczeni wewnątrznie, weseli pozornie.
Precz z miastem! Komu w piersi serce młode bije,
Wsią tylko wyżyć może, na wsi tylko żyje!
O! i tu szczęścia niema, ale miasto złota
Mieszka nadzieja krośna i słodka tęsknota,
A każdy pyłek, krzaczek, stworzenie i kwiatek,
— To rozmyślania wątek, to maleńki świątek —
Pocichu, a nieśmiałym językiem do ciebie
Mówi o Bogu, człeku, przyszłości i niebie.

INTERMEDIUM ZE STAREJ KOMEDYI

Bakałarz, smyk, chłopak odarty.

Bakałarz. Pocóżeś się przywłókł do szkoły?

Smyk. (drapiąc się w głowę). Aby się uczyć.

B. Do czego ci to?

S. Jużci, aby umieć.

B. Do czegoż umieć?

S. (myśli). Aby mieć.

B. A po cóż mieć! Mądryś!

S. Aby śmieć.

B. Daj go katu! Dalej-że co?

S. A co ma być? Aby jeść.

B. Punctum. To verbum personale. Hic Rhodus. Jeść!
Tak, wszystko się na tem kończy, że sobie wyrrywamy
to jadlo! Hm! a najadłszy się, co?

S. A no? — spać!

B. Byle tylko nie marzyć, bo jak się człek zbudzi,

A marzył o aniołach, nie chce mu się ludzi.

Chociażeś nie głupi Maciek, ale do szkoły trzeba już coś
umieć. Co umiesz chłopcze?

S. (myśli). Dużo — i — nic —

B. Byle nie nadto; bo coś bardzo mędrkujesz...
przecież coś umiesz? pismo znasz?

S. Boże trochę — ludzkiego nie.

B. Gdzieżeś Boże czytał?

S. W polu i na obłokach, na słońcu i po miesiącu.

B. Cóżeś z niego wysylabizował?

S. Tylko to, że do szkoły mi potrzeba.

B. Teraz z katechizmu. Wiele jest Bogów.

S. Tyle ile ludzi.

B. Ile, co za lichy?

S. Ano, boć sobie każdy swojego na obraz własny i podobieństwo tworzy.

B. Co tu z nim począć! Dyabeł mi cię tu nasłał!

S. Nie, samem przyszedł.

B. Wiele jest przykazań Bożych?

S. Trzy.

B. Pić! to coś nowego! ciekawym jakie?

S. Boga chwał, ludzi kochaj, a siebie strzeż. Reszta się w tem znajdzie.

B. Wiele jest grzechów głównych?

S. (myśli). Jeden.

B. Tylko! Wciorności cię porwały! a to co??

S. Takci. Grzech główny—samolubstwo... Jak krowa jest z niego wszystko udoić można.

B. A wiele będzie cnót?

S. Jużci, też jedna.

B. Jaka?

S. Miłość, z tej płynie reszta...

B. (po chwili). A za naukę masz mi czem płacić?

S. Pewnie, i to co najdroższe na świecie.

B. Naprzykład?

S. Sercem...

B. (Porywa za miotłę z kąta)—A nie pójdiesz, że mi, niezdaro jakiś... i żebyś mi tu więcej nie wracał!

(Z Albumu „Kraków — Zagrzebiowi”) 1851 r.
wydanie 3-cie str. 18.

Z i e m i o !

Ziemio lechicka... ziemio ukochana,
Jakżeś ty ślicznie przez Boga ubrana...
Gdyby dziewica w niedzielnej odzieży,
Gdy na próg chaty w wieńcu róż wybieży...
Jak pięknie niebo twym równinom świeci,
Jak zdrowy powiew karmi twoje dzieci!
Od morza brzegów, do grzbietu Karpatów,
Szumią twe lasy, słychać woń twych kwiatów,
Złocistą falą płyną pola twoje...
Srebrnemi wstęgi wiją wód twych zdroje..
Pagórki zieleń kobierców okrywa,
Ziemio lechicka, ziemio urodziwa!
Szczęsny, kto na twem urodził się łonie
I spracowany legł na twym zagonie...
Jest czem odetchnąć — gdzie się rozpościerać
I żyć dla czego i za co umierać.
Ziemio lechicka, ziemio ukochana —
We wszystkieś dobro od Boga odziana,
Jakby zwierzyniec one twoje bory,
Pola twe, jako śpichrze i komory,
Miodem i mlekiem pierś twoją nabiera,
Sąsiad z zazdrością w oczy ci spoziera,
Ale na straży ni gród ani wały —
Stoi lud mężny, miłością drży cały...

Któżby tej ziemi nie kochał — macierzy!
Raz ją ujrzawszy w królewskiej odzieży,
W złocie, bisiorach i błyszczącej zbroi,
Gdy dziatki swoje i tuli i poi....
Kiedy im pieśnią starą w serca wlewa
Miłość, co żywi, miłość, co ogrzewa,
Przeleć oczyma ponad te obszary —
Posłuchaj szumem, co mówi bór stary;
Pokłoń się dębom świętym u rozdroży,
Rzekom się pokłoń, w nich płynie źródło Boże,...
I tym zagonom, na których, wśród żyta
Mak i bławatek na wieńce rozkwita,
Piersią zaczerpnij powietrza i woni,
I oko poślij w głębie tych ustroni!
Patrz, jaka cisza tę ziemię okrywa,
Błogosławiona, weselem szczęśliwa!
A kto się rodził, kto tu przeżył lata —
Chaty nie odda za wsze złoto świata!

C z e m u ?

Myśli—płomyki ognia, co gore wieczyście,
Skąd do serca? jak z serca do głowy przyszyście?
Dlaczego, gdy was wołam, stoicie uparte?
Czemu mi nieproszone zalegacie głowę?
Czemu jednych zostaje znamię niezatarte,
Gdy drugie, gdzieś, aż w ciemnie wracają wiekowe?
Czemu często z drobnego ziarnka, jak makowe,
Wykwita kwiat tak wielki, świetny, niespodziany?
Czemu nasiona wielkie przeleżą jałowe
Przez długie lata życia i wiekowe zmiany,
Aż wnijdzie słońce jakieś, które je rozbudzi
I palma z nich zakwitnie nad głowami ludzi?
Czemu myśl z końca w koniec ogromnego świata
Jedna—wielka na skrzydłach czasu, gdy przelata—
Nikt jej sobie nie wyrzekł, wszyscy ją uczuli
Jakby z niebios im światło zaświeciło wieszczco.
I każdy tę myśl wieku do piersi swej tuli,
I wszyscy z nią w głębinach duszy swej się pieścą?
Czemu, kiedy myśl jasna w tysiąc piersi żyje —
Jedne je tylko usta ogłoszą przed światem,
A tłum z oklaskiem swojej myśli w dłonie bije
Przez poetę odzianej złotem i szkarłatem?
Czemu druga, choć wielka, samotnie zbłąkana
I oczu nie zawróci i serca nie wzruszy?

Zastygnie, gdzieś na karcie i pyłem skalana
Zaśpi, aż wiek ją późny z spowicia poruszy?
Czemu? o życie! myśli! o wielkie *Dlaczego?*
Jest że odpowiedź jaka na życia zagadki?
Tłumy spragnione wiedzy za jej źródłem biegą,
Lecz gdzie prawda? U piersi wiekuistej matki?
Myśl myśli, życie życia, ogień niezgaszony,
Istność bytów—co wszystko w swej piastuje dłoni,
Ten co jest, nawet myśli okiem nieścigniony,
Ten wie jeden—my . schylmy ociernionej skroni.

d. 12 marca 1846.

Polonez.

Czy słyszysz, jak dźwięki płyną?
Glucho, naprzód przytłumione,
Wpół się ozwą—to zaginą
Gdzieś na wiatrach uniesione,
To głośniejsze żywiej brzmiące
Śpieszniejszą lecą koleją
I jak błyskawice drżące —
Raz po razu płomienieją!
To grzmotnemi huki głośnie
Strachem przejmują i trwogą,
To słodkie, ciche, miłosne
W dumań przestrzeń pędzą błogą!
Na ich lonie, jak kwiat z ziemi
Wytryskuje śpiew dźwięczący
Słowy, tony wskroś równemi,
Jak srebrną rosą świecący...
Słyszysz! oto polski taniec
Zda się nie dla żywych grany,
Bo z ziemi naszej wygnaniec
Wstać z mogiły musi w tany.
Ej! polskiego! aż grobowe
Od lat secin nchem obrosłe
Wzniosą się wieka trumnowe,
Wstaną postacie wyniosłe!

I po grobach i na grobie
Raz nam jeszcze się przesuną:
W polskim tanie — i w żałobie
Przed spruchniałą przejdą truną!
Patrzcie w ciszy chór duchowy;
Gra polskiego! i z mogiły
Nagie czaszki, siwe głowy
Z kolei się powznosiły.
Mary na łokciach się wsparły
I dumają, czy iść dalej —
Czy znowu wpaść w sen zamarły,
Aż się wstrząsnęły i zerwały!...

O! jak mi smutno.

Myśli lat młodych, towarzyszki strojne,
Marzenia złote, nadzieje zbyt hojne,
Wieńce, co skroń mi zdobiły młodzieńczą,
Jak róże, które czoła zmarłych wieńczą,
Tumany, coście sercem kołysały —
Ze mną zrodzone, w mej kolebce spały,
Dorosły ze mną i bujały ze mną,
Nicią z mem sercem związane tajemną —
Myśli, nadzieje, wieńce i marzenia—
Żegnajcie wszystkie — świat mi się przemienia.

O! jak mi tęskno rozstawać się z wami
I idąc dalej, nucić za wrotami
Młodości mojej—całych dziejów skarby
Bogate w kwiecie, nieprzebrane w farby,
Co pasmo życia tak długo mi przędły,
Aż jam zwiądnął dla nich, one dla mnie zwiędły!—
I jak boleśnie na łożu konania
Świat ten odpychać dłonią pożegnania,
Tak ciężko w chwili, gdy młodość ulata
Od młodzieńczego oderwać się świata
I patrząc w drugi surowy i czarny
Iść z róż krainy na piasek cmentarny.
A jednak trzeba! zgasły dni pogodne,
Serce zastygło, choć tak było głodne,
Oczy zagasły, z pod chmurnej powieki
Rzucają wzrokiem w kraj inny, daleki...

O! morze.

Cicho na morzu, cicho na ziemi, na niebie,
Na morzu się okręty złotemi oczkami
To śmieją, to wołają, to mówią do siebie,
Ognistemi, w ciemnościach błyskając głoskami.
Na ziemi! spojrzysz! miasto, ten olbrzym tak młody,
Co wyrósł z jednej myśli, stanął w chwili cały,
Olbrzymiemi piętrami, nad czarnemi wody
Podnosi się i świeci, jakby całun biały.
Tam błyszczą rzędy światel, w głębokiej pomroce
I szereg długi kolumn, długie murów ściany,
Jak gwiazda spadająca światło zamigoce
I głos zaszumi jakimś turkotem przerywany.
Na niebie o na niebie! co tam światel błyska!
Widzisz, ile klejnotów na Bożej koronie!
A między niem, a ziemią chmura się przeciska
I czarna topi gwiazdki w nieprzezrocznym lonie.
Na niebie i na morzu wszystko drzemie w ciszy,
Niebo z morzem w uścisku do snu się skleily —
I fali nawet szumu ucho nie dosłyszysz —
Śpią, jak dzieci te wody, co tak groźnie wyły!
Tak i człowiek! o morze! ileż patrzeć na cię
Musiałem razy, tyś jest człowieka obrazem—
Zmienneś jak on — nieczułe, w twej duszy i szacie —
Ileż sprzeczności dziwnie pogodzonych razem!

Odessa.

Nad morzem.

Kiedy patrzę na morze—godziny mi płyną,
Jak we śnie, ani wstrzymać, ani nie policzyć,
I nie płaczę za marnie ubiegłą godziną,
Bo szczęśliwszej nie umiem pomyśleć, ni życzyć.
I najczystsza z nich rozkosz tak swobodny piję,
Po nich gorycz mych zbladłych ust już nie osuszy,
Czuję wtedy, że żyję, choć nie wiem jak żyję —
Z ciała mego uciekam, by się zamknąć w duszy...
Patrzeć tak na to morze, gdybyż całe życie!
Nad siną jego falą przemarzyć, przedrzemać—
I serce w takim cichem odrętwieniu trzymać,
A zbudzić się dopiero o wieczności świcie!

13 sierp. 1843 r.
Odessa.

Romanów.

Jak tam było wesoło—jak tu dzisiaj smutno!
I świat szatę mi przywdział czarną i pokutną.
Co za godzin różnica! jak uczucia inne!
Cierniem suchym, przekwitłym róże me dziecinne!
I śmieję się zagnalony, a śmieję nieszczerze
I widzę radość cudzą—ale w nią nie wierzę.
Inne tam były czasy—pamiętam dwór stary...
Wśród lasów, nad nim olchy i gniazda bocianie
I czarnych świerków zwisłe ku ziemi konary
I cichy szmer ich skrzydeł jak mnichów szeptanie.
I tam mi tęskno było, lecz młoda tęsknota —
A! lepsza, niż ta radość, co dziś sercem miota —
W niej, jak w pączku zamknięte kwitły me nadzieje,
Dzisiaj ciężko na duszy i łzami się śmieję...

Drezno.

Z i m a.

Zima.—Na niebie szara rozpostarta szata...
Cicho—spokojnie śnieżek w powietrzu ulata
I wszystko białym swoim całunem odziewa;
Stoją się zeschłe trawy, obumarłe drzewa...
Na tle ciemnem się biało maluje świat wszystek,
Najmniejsze trawy ździebło, najdrobniejszy listek —
Mistrz nad mistrze naturę zamarłą w jesieni—
We mgnieniu oka w nowy, żywy świat zamieni,
Żywy, bo całun to jest, co tuli w swem łonie,
Wszystko, co z wiosną jasną zielenią zapłonie!

Z strzaskanego okrętu szczątki niosą fale
I na ląd wyrzucają. Ludźmi rzuca życie...
Jedni się rozbijają na pustynnej skale —
Drudzy znajdują gdzieś ciche u brzegu ukrycie...
Mnie na wasz ląd gościnny los rzucił litośny —
W kraj ten serc miłosiernych i wieczystej wiosny,
Znalazłem w was współziomków i siostry i braci...
Wdzięczność moja bezsilna, Bóg cnotę niech płaci! —

San-Remo.

W błękit.

W chwili boleści, smutku, urosły mi skrzydła...
Łzy się wylane w obłok zmieniły srebrzysty...
Wzleciałem,—z oczów ziemia znikła mi obrzydła,
A niebios blask nad skronią, świecił promienisty..
Czoło zranione jeszcze gorącą krwią, ciekło,
Serce ściszał żal ciężki, a pierś utrudzona
Oddychała z trudnością, dyszało w niej piekło,
Lecz duch wionął... i spokój powracał do łona.
Tak lekko było wtedy wzlecieć ponad ziemię,
Tak miło dni powszednich rzucić z siebie brzemię,
Tak dobrze spojrzeć w niebios błękit nieschunurzony,
Tak swobodnie wśród ciszy stanąć niezmąconej...

Człowiek leci jak kamień z przyśpieszoną siłą,
O długie dni wiosenne, jak was wspomnieć miło...
Dwadzieścia cztery godzin mają te zimowe —
A lecą jakby były krótsze o połowę!

B l a g o!

Pani wieku! królowo, władczyni, o! blago!
Padam przed tobą na twarz... Jak dawne boginie
Nie jesteś całę piękną, ni jak one nagą —
Róžuiesz się i bielisz, chodzisz w krynolinie...
Nosisz czasami maskę, zawsze głos przyprawny
Masz i biust pożyczany i rząd zębów wstawny.
Słowem, wzięłby cię prostak za aktorkę starą...
A przecież władasz światem..., zwycięska poczwraro!
Nic bez ciebie... a przez cię... staje się, co dzieje...
Każesz płakać, świat płacze, śmiać się—świat się śmieje!
Wielbić—wielbi, tyś panią, ty królowo świata!...
A kto nie zna twej władzy i twojej potęgi —
Nie uratuje go rozum, nie pomogą księgi,
Nie wybawi go cnota... szczerłość nie ocali,
Rozśmiejesz się—wyśmieją i tłum pójdzie dalej,
Wszyscy do twego dzisiaj należą orszaku...
Bo ty góry potafisz rodzić z ziarna maku,
Ty z błotaoto robisz i z karłów—olbrzymy...
Na twe skinienie złoto i kadzideł dymy
I słowa... i pomniki i laury i trony...
W tobie szukam ja siły, broni i obrony...
Barnum cię wielbi, kapłan do swojej bogini
Za nieszczęśliwym może łaskawie przyczyni —
Nic bez blagi... nią trzeba począć i satyry...
Ale w co kłamanego przebrać wiersz ten szczerzy?
Jak go ustroić, jakie przypiąć nowe miano,
Aby go w świecie za coś „wielkiego” uznano?
Nie mam godła... chorągwi, popleczników, zgrai,

Którejbym sprzedał, co się w piersi mojej tai,
Jestem sobą... niestety... lecz wszechmocna blaga
W zdesperowanych nawet wypadkach pomaga.
Powiem więc, że lekarstwo niosę na wsze rany...
Że kto wiersz mój przeczyta, ten się nim odrodzi,
Odmłodnieje, ukrzepi, strumieniem oblany,
Który rany zagaja i bole łagodzi...
Za mało! blaga śmiechem wykrzywia oblicze—
I rusza ramionami... choć dość głośno krzyczę...
I jak niepoprawnego... rzuca mnie wśród drogi...
Znikła... stoję znów jeden... tęskny i ubogi...

Ludzie małego serca a wielkiej kieszeni,
Kiedy zwycięstwo wasze czoło opromieni,
Jak miło spojrzeć w wasze posągowe twarze.
Duma z głupstwem w najczulszej zlewa się w nich parze,
A taka pewność siebie ze żrenic wylata
Iż każdy musi uznać, żeście pany świata!
Jakże wzgardliwym wzrokiem rzucacie na tłumy?
W których zgniecione leżą serca i rozumy,
Jak wymownie umieścić dowodzić to tema,
Że oprócz talara w świecie—innych Bogów niema,
Że przedewszystkiem winno iść staranie chleba,
A gdzie chleb jest, tam nawet rozumu nie trzeba,
Że nauka przesądem, jeśli z tej nauki —
Nie można wnet z pomocą rachmistrzowskiej sztuki,
Wyciągnąć realnego procentu gotówką —
Że fałszywe przysłowie: i kredką i główką,
Bo dosyć kredki—w końcu, że z wszystkich rupieci
Najnieużyteczniejsi pewnie są... poeci...

Siedzi człek nad drogą,
Czemś zajęty srogo...
Co to robisz człeczko?
Biedę sobie piecze...

Niedaleko — drugi:
Ogromnemi strugi
Pot mu ciecze z twarzy —
Troskę sobie smaży...

A tuż siedzi — trzeci
Coś w garnku szumuje,
Dla siebie i dzieci —
Kłopoty gotuje...

Pracują biedacy
Wszyscy wielką pracą,
A wszyscy my tacy...
Tak się trudy płacą!

Chłopiec złapawszy wróbla wydłubał mu oczy,
Nogi mu wykręcał i połamiał skrzydła—
Nadszedł starszy... O dziecko! rzekł, to rzecz obrzydła,
Co robisz... patrz... ptaszyna kona i krwią broczy.
— Ale nie, rzekł mu chłopiec, wróbel był nieładny,
Ja go chciałem przerobić na mej myśli wzory...
— Dziecko! twój czyn okrutny nie jest bezprzykładny,
Tak Polskę przerabiają dziś reformatory.

1867.

Myśli twej nigdy nie zapuszczaj na dno —
Sznury się zerwą i wiadra przepadną,
A w końcu ciebie ta przepaść zawoła:
Abyssus-vocat! Leć skrzydłem anioła
Ku górze lepiej, na obłoki jasne —
Tam twa ojczyzna — twe krainy własne,
Choćby cię błękit pochłoniął w zachwycie —
Niżli w przepaści, giń lepiej w błękiecie.

18 st. 1876 r.

W książce pamiątkowej A. Mickiewicza w Karlsbadzie.

Rozproszeni po świecie, w dniach długiej żałoby,
Szczęśliwiśmy, gdy w drodze spotkamy choć groby,
Na których imię polskie z wieńcem sławy leży —
Tak tutaj na słowiańskich ziem skrajnej rubieży
Wielkie imię Adama z tablicy nam świeci,
Tu — dzień przeżył, przemarzył i tu polskie dzieci
Pielgrzymując przychodzą uczcić pamięć jego —
Nim się znowu ich drogi po ziemi rozbiegą.
Duchu wieszczu! zstąp w nasze pokolenia młode!
Niechaj się skrzeple serca przy tobie zagrzeją....
Uzbrój je męstwem, wiarą, napój je nadzieją,
Daj miłość pracy — i zgodę.

23 lipca 1872.

Ludzie są jak owoce, gdy dojrzeją smaczne
I rumiano i świeżo oczy nasze nęcą.
Są jak kwiaty, gdy barwą jaśnieją dziecięcą.
Później chwile, godziny i dni na nich znaczne
Znika barwa i krasa, czarne drobne znamię
Patrz rozrasta się w głębi, świdruje i łamie
Gnilec w środku nurtuje i płami po wierzchu.
Owoc z rana rumiany — a zwiędły o zmierzchu
I człowiek tak na starość powoli się płami
Woń ideału traci, okrywa bliznami
Niewiara pierś mu zjada i czaszkę przewierci
I żyw jeszcze już w sobie czuje zaród śmierci.

30 stycznia 1876 r.

Do H. Merzbacha.

Mój kochany Henryku!

Za wspaniałe dary
Niema cię obdarować czem przyjaciel stary,
Bo z rozbicia — niestety—nie uniósł nic więcej
Nad długi i niedolę i trosk sto tysięcy...
Nawet praca dziś rolę uprawia niewdzięczną.
Z umysłowej się śmieją... młodszy wziął ręką...
A w szóstym się krzyżyku znalazłszy tułaczem —
Niema się czem podzielić, bo nie godzi płaczem...
Więc przyjdź... zimny ten wyraz, choć z piersi
Bóg zapłać! Bóg bankrutów długi spłacający,
Może i za mnie zechce wypłacić sowicie
Na co mi już nie starczą ni siły, ni życie.
Trzydzieści lat już piórem białą rolę orzę
I zrosiłem ją potem w ciszy i pokorze,
Czekam plonu... a może wiatr rozniesie ziarno
I trud pójdzie z wichrami i siew zginie marnie...
Zrobiwszy, com był winien... łez nad tem nie leję,
Reszta nie naszą rzeczą, niech się co chce dzieje...
Dobrze jeśli, choć kilku serca mi dochowa
Jeśli, jak ty przyjaciel... zdala da dwa słowa,
Co mi serce otworzą, przyjaźni dowiodą —
I w starą rzucą duszę... jakąś radość młodą.
Dzięki Ci... przyjacielu, bo z ludzkich rupieci

Najniepotrzebniejsi, — to przecie poeci....
Ponad wieki cmentarze, księga wyżej stoi —
I darząc mnie książkami, darzyłeś żywotem,
W nich treść jego... najlepsza, bo reszta nic potem.
Ale czemuż wśród twoich przyjaźni pamiątek
Twego imienia książki nie przyniósł początek,
Czemu zimne rozmowy dałeś mi nie „z wiosny”?
Choćby „z lata” jam trochę o drugich zazdrosny...
Dajesz obcych, nie siebie... popraw-że się kiedy,
Ja z mych grzechów pisanych ogromnej czeredy
Wybiorę ci też jakąś księgę najmniej grzeszną,
Buchbinder ją ubierze i pocztą pośpieszną
Wyślę — „Rzym za Nerona” smutny obraz stary,
A rzekłbyś, że do innej przykrojony miary
Tak stare dzieje dziczy i Cezarów dzieje,
Zawsze jedna łza myje, krew z nich jedna leje,
Dwóch wieków, tak, dwóch wieków bratnie jakieś twarze,
Aleksander z Neronem godzien chodzić w parze...
I gdyby nie tysięcy lat przestrzeń daleka,
Jednego w obu wiekach poznałbyś człowieka.
Tak dziś pisząc o Rzymie... i niewiedzieć o czym,
Z całej ludzkości bólem myślą się jednoczym...
A pióro mimowoli własne losy garnie...
I pod cudze ze swemi ciśnie się męczarnie...
Bądź skromnej książce łaskaw i przyjm dar ubogi,
A niech ci los uścięła... zwycięstwami drogi —
W tym roku i przez wiele lat życia długiego —
Tysiąc życzeń serdecznych od sługi Twojego.

Grudzień 1865 r.

Na śmierć Bolesława

(Przekład z Gallusa).

Wszelakiego wieku, stanu,
Płci — biegnij człowiecze,
Bolesława króla pogrzeb
Z żalością otoczcie.
Śmierć męża tak wielkiego,
Razem ze mną płaczcie.

A! a! królu Bolesławie,
Kędy chwała Twoja?
Kędy cnota, gdzie ozdoba,
Gdzie bogactwa twoje?
Płakać ino nam zostało
Biadać, Polsko, biada!

Podzwignijcie padającą
Z boleści, panowie,
Ból podzielcie użalając
Proszę biednej wdowie...
A! widzicie, jak stroskana,
Jestem goście moi!

Jakim bólem, jakim płaczem
Boleją kapłani!
Tracą siłę, tracą zmysły,
I przytomność wodze —
A duchowni jako wszyscy,
I nad nich stroskani...

Wy, co na znak cny rycerstwa
Łańcuchy nosicie,
Wy, co szatyście królewskie
W każdy dzień mieniali,
Razem wszyssy okrzyknijcie,
Biada nam, dziś, biada!

I wy panie, co korony
Nosiliście złote,
Wy, co suknie z złotogłowi
Miałyście i srebra —
Zrzućcie szaty, a żałobę
Nadziejcie welnianą...

A! a! królu Bolesławie
Pocoś ty nas rzucił?
Boże, czemuś śmierć dopuścił
Na męża takiego?
Czemuś, raczej razem wszystkich
Nas nie dał na pastwę?

Cała ziemia utrapiona
Po swym królu wdowa —
Jak dom pusty, kiedy pana

Swojego pochowa —
Płaczącego myśl się tuła,
I błąka bezsilna...

Męża tego pogrzeb ze mną,
Placz wszelki człowiecze,
Bogacz, nędzarz, żołnierz, kaplan
Nad wszystko, ziemianie,
I lechici i słowianie,
Mieszkańcy tej ziemi!

A ty, co czcisz, dobrej woli,
Ktośkolwiek człowiecze...
Proszę, niechaj się pobożność
Łzę wylać poruszy —
Bo nie ludzkim byłbyś człeczce —
Nie chcąc płakać ze mną.

*) Bartoszewicz w historii literatury polskiej, pisząc o dawnych pieśniach ludowych, powiada, że Gallus żałobnej na śmierć Bolesława pieśni tekst cały po łacinie w kronice swej zachował. Dodaje razem, że w niej zachowano koloryt, ton i miarę ludowych śpiewów. Myli się jednak, bo Gallus nie podaje owego płaczu po Bolesławie za pieśń ludową, ale jakby za swój po nim żal własny (ejusque funus aliquantulum carmine lugubri lugeamus) jest to wszakże uderzającym w niej, że ma zwroty i cechy istotnie starej pieśni naszej i dla tego staramy się w wiernem tłumaczeniu rytm podobny zachować.

DO ***

Chory, zbolały, Twoje odbieram posłanie,
Niedołężnem—„Bóg zapłać” dziękując ci za nie,
Szczęśliwy! wiązkę kwiecica przyniosłeś nam wiosną,
A w jesieni ci jeszcze bujne kwiaty rosna,
Gdy u nas, na łądogach liści nawet niema —
Tobie kwieciami się jeszcze uśmiechnie i zima
Śpiewaj, stary mój druhu — w życiu najboleśniej,
Gdy uwiędną nadzieje i zamilkną pieśni.

Noc z 6 na 7 listopada 1882 r.

Na śmierć Jana Czeczota.

w Druskienikach, d. 11 sierpnia 1847.

W ubogiej chatce, na prostym tapczanie
Trup leży martwy, z powieką zapadłą,
A boleść ciężka i długie konanie,
Uśniechem męczennika wieńczą twarz wybladłą,
Pusto, troje tylko nad ciałem zostało —
Ta, co go pilnowała do życia ostatka,
Której skonanie jego resztę łez zabrało,
Obca mu, ale razem siostra, żona, matka.
I biedna jakaś stara, co umarłych strzeże
Zimnemi wargi martwe, szepcząca pacierze..
I żebrak wpółdrzemiący, z gałęzią zieloną,
Jako palma zwycięstwa nad zmarłym zwieszoną...
Pusto... ledwie ktoś zajrzy i ku bladej twarzy
Wzrokiem się przełęcznionym przybliżyć odważy...
My stańmy na zwycięzcę popatrzyć zdaleka,
Zapłakać nad poetą, westchnąć za człowieka!!
W tej skroni już wybladłej, z której myśl jaśniała,
W snem spojonych powiekach, w ustach uśniechnionych,
Jak się jeszcze odbija przeszłość jego cała...
Nadzieje lat przeżytych, bole dni minionych!
Ile w obliczu martwem wiary i miłości!
Uczmy się z niego żywi — bo żaden z nas niema
W licu tego spokoju, w obliczu świętości.

Żaden żywem! nie powie oczyma,
Co ten trup niemy i, co ta twarz błada!
Milcząc o swojej przeszłości powiada!
W ubogiej chatce klęknij na modlitwie:
To bój skończony, to walka wygrana —
Ten trup-zwycięzca po zajadłej bitwie
Sztandar zbroczony zaniesie do pana...
O! nic nie ginie — choć wszystko przechodzi,
Myśl obumarła z grobu się odrodzi,
Łza rośnie z mogił, cierpienie jest płodnem,
A kto umierał z licem tak pogodnem —
Ten umarł pewien, że za naszym światem
Cierpienie żniwem wróci się bogatem!



Biblioteka Raczyńskich

JIK 556



JIK0556